ŁOWIEC POLSKI



„Na czarnego zwierza."

rys. S. Rozwadowski

ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO

Nr 2 (951) Luty — 1948 r. Cena zł 50

Do Kolegów Łowczych Powiatowych

Powołując się na odezwę, zamieszczoną w Nr. 6 z r. ub. „Łowca Polskiego”, pozwalamy sobie raz jeszcze zwrócić się do Kolegów z wezwaniem o dołożenie starań, abyśmy mogli jaknajrychlej otrzymać pełny wykaz adresów tych członków, którzy uiścili już składkę członkowską za r. b.

Do końca stycznia wykazy adresów wpływały tak wolno, że wysyłka Nr. 1-go „Łowca Polskiego” objęła zaledwie 1000 egzemplarzy. Tak powolne tempo zgłaszania się członków paraliżuje pracę zmontowanego aparatu ekspedycyjnego w chwili bieżącej, a sprawi nadmierny wysiłek w dalszych miesiącach, wskutek konieczności dodatkowego wysyłania zeszytów wcześniejszych.

Pozatem pozbawia ono nas możności określenia ilostanu faktycznego członków i przystosowania doń nakładu pisma. Aczkolwiek bowiem drukujemy dziś 25.000 egz. „Łowca Polskiego”, ale nie wyłączony jest dalszy napływ członków. Otóż musimy zgóry uprzedzić, że ci nowoprzybyli z opóźnieniem członkowie Związku nie otrzymają zeszytów już wydanych, a i dalsze zeszyty otrzymają z opóźnieniem.

W interesie przeto zarówno własnym członków, jak Redakcji oraz Władz Naczelnych Związku, muszą Koledzy znaleźć sposób przyśpieszenia wpływu opłat członkowskich oraz terminowego wysyłania dokładnych adresów członków bezpośrednio do Redakcji w okresach tygodniowych.

REDAKCJA.

ŁOWIEC POLSKI

ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO

Nr 2 (951) 1948 Luty



Na M. B. Gromniczną .... *Rys. K. Tarnowski.*

BOLESŁAW ZARZYCKI.

W STEPACH AZJI

(poświęcam dr. Stefanowi Jaroszowi).

Było to w końcu wiosny 1908 r. Pociąg pośpieszny Ryga — Moskwa — Orenburg pędził z szybkością około stu kilometrów na godzinę, kołysząc się zwolna na zwrotnicach przy mijaniu pomniejszych stacji i przystanków, na których migały tylko przed oczyma budynki i czerwone czapki zawiadowców, a nieco dalej — kolorowe chorągiewki, trzymane w ręku służbiście stojących dróżników.

W przedziale wagonu pulmanowskiego 2 kl., obłożony dziennikami, siedziałem pogrążony w słodką zadumę spodziewanych wrażeń, rzucając niekiedy senne spojrzenie przez okno w dal monotonną i rozmyślając nad tym, jak też powita mnie ten nowy, dotąd zupełnie mi nieznany, kraj, do którego właśnie dążyłem. Wyobraźnia moja rzeźbiła już kontury obrazów pierwotnej natury tych stron dalekich, które oddawna mnie pociągały ku sobie swoją tajemniczością, nęciły spodziewanymi przygodami, wabiły dreszczykami uciech łowieckich. Zdawałem sobie sprawę, że zbliżam się ku krańcom dwóch światów, całkiem odrębnych od siebie — świata cywilizacji zachodniej i życia pierwotnego wschodu. Mimowoli zakradło się gdzieś w głębi duszy uczucie niepewności, czy znajdę tam splot tych przeżyć, których właśnie szukałem, czy wypełnią one moje myśli i pragnienia urzeczywistnieniem nadziei, którą wypieściłem i wykołysałem już oddawna w mej wyobraźni. Budziło to wszystko we mnie



Przy śniadaniu. *Z wyprawy filmowej do Białowieży*

lękliwe refleksje, ni to niepokoju, ni to smutku, które się potęgowały na wspomnienia o kraju opuszczonym, o bliskich; czy ujrzę ich jeszcze kiedy w życiu. Rozmyślania te przybierały na sile w miarę przebycia każdej nowej setki kilometrów drogi. Może rodziły się one pod wrażeniem samotności, przedziały bowiem wagonu świeciły pustkami, a wiadomo, że samotność nie wpływa dodatnio na spokój ducha ludzkiego.

W takim nastroju dojeżdżałem do Moskwy. Tutaj nie miałem zamiaru dłużej się zatrzymać. Chodziło mi przede wszystkim o zwiedzenie magazynów broni myśliwskiej, chciałem bowiem nabyć jeszcze jedną strzelbę i większą ilość prochu i śrutu. Kupiłem więc szesnastkę Sauera z przyrządami i poczyniłem zapasy prowizji na dalszą drogę. Będąc w Moskwie, nie mogłem nie skorzystać z okazji, aby być na przedstawieniu w „Teatrze Artystycznym", z sukcesów którego Moskwa była tak dumna, a gdzie ostatnio wystawiano sztukę Czechowa „Czajka". Jest to teatr, który się cieszył i cieszy dotąd dużą popularnością. Dawano tam przeważnie sztuki tegoż autora, Czechowa, o dużym napięciu dramatycznym, jak: „Trzy Siostry", „Wiśniowy Sad", i „Czajka".

Dalsza podróż z Moskwy do Orenburga nie obfitowała w urozmaicenia pod względem bogactwa widoków i przygód podróży. Pola i lasy, przecinane czasem wstęgą błękitną rzeki, wioski z izbami szarymi, jak stadka wróbli, z nieodzowną cerkwią zieloną pośrodku, ot i wszystko, co się przeplatało ze sobą na przemian na przestrzeni przeszło tysiąca kilometrów. Aż wreszcie pociąg, cały zakurzony i zdyszany, ciężko sapiąc i wyrzucając kłęby pary, zwolna wtoczył się na peron ponurego dworca, na którym widniał duży napis: „Orenburg".

Jakże dziwnie obce wydało mi się to miasto! Szeroka, o długości dobrych paru kilometrów ulica główna, tak zwana „Bolszaja", a w rzeczywistości „Mikołajewska", wylatuje wprost na wysoki, urwisty brzeg rzeki Uralu, uwieńczony parkiem miejskim. A po drugiej stronie rzeki rozciąga się, jak tylko okiem można sięgnąć, malownicza perspektywa nizinnych stepów, przetykana kępkami olszyny, lub innych drzew, i ginie we mglistym bezkresie dali.

Po załatwieniu pewnych formalności, polegających na otrzymaniu tak zwanego „odkrytego listu" w kancelarii gubernatorów, rezydujących w tym mieście — orenburgskiego i turgajskiego, uprawniającego do żądania koni dla przejazdu na obszarach Kozaków orenburgskich i Kirgizów, zaopatrzony w dodatkową prowizję, zasadniczą częścią której były suchary pszenne, herbata i wędliny suche, wyruszyłem w towarzystwie tłumacza-tatara, rodem z Kazania, za Ural.

O świcie przeprawiłem się przez most pontonowy, przerzucony przez rzekę, i wjechałem w miejscowość stepową, na której zrzadka są rozrzucone duże „stanice" kozaków orenburgskich. Trójka małych, rączych koników, zaprzęgniętą do własnego „powozu" na drągach brzozowych, rwie z kopyta, pozostawiając za sobą kłęby kurzu i unoszące się opary nad śpiącą jeszcze rzeką. Uwiązane na pałąku nad głową środkowego rumaka, tak zwanego „korennika", małe dzwoneczki, jęczą niemiłosiernie, usposabiając do snu. Co dwadzieścia — trzydzieści kilometrów są stanice — stacje, na których przeprzęgają świeże konie, i jazda taka może trwać bez przerwy dzień i noc, aż do celu podróży.

Kozacy — to naród stateczny, trzeźwy i gospodarczo mocny. Interesują się oni różnymi przejawami i zagadnieniami życia na świecie, lubią porozmawiać o wszystkim, co dodatnie sprawia wrażenie. Dziwnym się wydaje taki oto

obrazek, widziany niemal na każdym kroku. Kozaczki, duże i małe, spotykane bądź w domu, bądź też w polu, czy na pastwisku, szybko przebierają drutami w palcach, trzymając pod pachą jakiś zwój. Są to tak zwane „chustki orenburgskie”, znane przed wojną ze swej dobroci w całym państwie; są one nadzwyczaj ciepłe i lekkie, wyrabiane z wełny koziej, o kilku gatunkach, a za najlepszy uważany jest ten, który pozwala dużą chustkę swobodnie przeciągnąć przez pierścionek zdjęty z palca.

Z Orenburga do Orska, tego ostatniego miasta na ziemiach kozaków, odległego o przeszło sto kilometrów, jedzie się niespełna trzy godziny. Kilkanaście małych domków, trochę lepianek z niewypalonej cegły, oto całe miasto. Dodam nawiasem, że w Orsku przebywał ongiś na wygnaniu poeta i świetny nasz stylista ś. p. Zdzisław Dębicki. Było tam i wówczas kilku Polaków-zesłańców, którzy zarabiali nieźle, trudniąc się handlem. Nie mogli oni jeszcze powrócić do kraju, a bardzo za nim tęsknili. W Orsku pożegnałem Europę, zapuszczając się w stepy azjatyckie Kirgizów.

Kirgizi — to naród pierwotny, pasterski, koczowniczy. Tabuny dzikich koni i nieprzejrzane stada baranów przepędzają Kirgizi z miejsca na miejsce przez całe życie tysiąca pokoleń. Nomadzi ci, z plemienia „tiurków”, mają rozmaite narzecza, podobne wprawdzie do siebie i nieco do języka tatarów, ale nie zawsze zrozumiałe dla tych ostatnich; to też Tatar mój nielada miał kłopot, gdy nie mógł dogadać się z nimi. Czym dalej w głąb stepów, tym mieszkańcy ich są bardziej pierwotni. Pamiętam, na jednym z postojów noclegowych u brzegu rzeki Toboł, zebrała się gromadka mężczyzn i kobiet u mego namiotu, obserwując nas z dużym zaciekawieniem. Wreszcie jedna z Kirgizek, śmielszej natury, z dzieckiem na ręku, podeszła wprost do mnie i zaczęła mię „obmacywać”, dotykając kolejno to błyszczących naramienników, to metalowych guzików, czyniąc to bez najmniejszej żenady. Aby pozbyć się natrętów, musiałem rozdać im garść cukierków i trochę świecidełek choinkowych, specjalnie w tym celu zakupionych w Moskwie. Nocami na postojach Tatar mój, uzbrojony w karabin, czuwał koło ogniska obok namiotu, a o świcie tę rolę ja spełniałem.

W stepach Azji rzadko się spotyka wodę słodką w jeziorach, których jest tam wiele. Przeważnie bywa ona słona, lub gorzko-słona, zupełnie niezdatna do picia. To też koczowiska Kirgizów grupują się przeważnie w pobliżu słodkich wód, obszary zaś pozbawione tej wody są rzadko przez nich odwiedzane. Jeziora takie są miejscem zlotów przeróżnego dzikiego ptactwa.

Już nie dojeżdżając paru kilometrów do takiego jeziora, słyszy się niekończące się gęganie gęsi, szum skrzydeł kaczek i gwizdy błotnych kulików. Tylko majestatyczne łabędzie białe, jak się później przekonałem, zachowują zupełną ciszę. W miarę zbliżania się rozgwar ten rośnie i do takiego stopnia przybiera na sile, że przyjezdny myśliwy jest poprostu oszołomiony tym, co widzi i słyszy. Nad wodą ustawicznie krążą, to unosząc się ku górze, to opadając ku zwierciadłu wody, wielkie ilości różnorodnego ptactwa, nic sobie nie robiąc z obecności człowieka. Dopiero wystrzał jeden i drugi sprawia zamięszanie w tym królestwie ptasim. Przeważają krzyżówki, potym idą cyranki, wreszcie inne gatunki kaczek, zupełnie mi dotąd nieznane.

W tych warunkach polowanie traci swój urok. Strzela się prawie bez pudła, a zabija się tylko tyle, ile potrzeba na spożycie. Imponujący widok wzbudzały we mnie dzikie łabędzie. Unoszą się one majestatycznie, przeważnie parami, w błękitnych przestworzach, ponad hałaśliwą zgrają kaczą, przy czym odnosi się wrażenie, że pyszne te królewskie ptaki dumne są ze swej hierarchicznej wyższości w tej rodzinie skrzydlatej. Nie miałem poprostu odwagi wycelować w kierunku dostojnego łabędzia, gdy ten nadpłynął na dystans strzału. Pozdrowiłem go tylko skinieniem ręki, a on, jakby to zrozumiał, bo opisał łuk i przeleciał nade mną po raz drugi. Zato w stosunku do gęsi, byłem bez skrupułów. Ostrożne te ptaki trzymały się zwykle zdala od brzegów jeziora. Dopiero w nocy, gdy księżyc popłynął nad wodami, gęsi powolutku zaczynały wychodzić na brzeg. Będąc ukryty w wykopanym uprzednio dołku, mogłem niejednokrotnie zrobić dubleta do tych ptaków. Opierzenie gęsi jest twarde, jak pancerz. Trzeba strzelać je loftkami.

Kirgizi rozbijają swe namioty-jurty wojłokowe zawsze u brzegów jeziora. Spotykałem nieraz taki naprzykład swojski obrazek. Kobieta w czerwonych szarawarach u brzegu prała bieliznę, a tuż obok niej pływały dzikie kaczki, zupełnie jak domowe. Przy moim przybliżeniu się podrywały się, siadając na wodę o kilkanaście metrów dalej.

Z Orenburga do Kustanaja, miasta już w kraju turgajskim, a właściwie stolicy tych stepów, (gdyż „miasto” Turgaj, to marna wioszczyna w porównaniu z Kustanajem), jest przeszło półtora tysięcy kilometrów drogi. Stąd właściwie rozpoczęły się badania przeze mnie tego egzotycznego kraju.

Smutne jest życie europejczyka w Kustanaju. Współczułem im bardzo, gdy w rozmowach narzekali na swą dolę. W odległości paru kilometrów od miasta znajdowała się zarodowa stadnina państwowa. Obszerne stajnie i parę domów mieszkalnych odcinały się korzystnie na tym pustkowiu. Oprowadzał mnie pułkownik — zarządca stadniny. Chodziło o to, aby przez skrzyżowanie konia rosyjskiego z miejscowym, otrzymać mocne wojskowe konie. Gdy w końcu zapytałem pułkownika, jak się on czuje na tym „wygnaniu”, nic nie odpowiedział, machnął tylko ręką z determinacją, co świadczyło, że musiał ten człowiek przeżywać jakiś ciężki dramat.

Stamtąd rozpocząłem polowania na dropie. Wyjeżdżając o świcie w step, po niespełna godzinie można było rozpoznać zdala pasące się dropie. Były to niewielkie stada, liczące najwyżej po kilkanaście sztuk. Zwolna się poruszając i pochylając co chwila długie szyje ku ziemi, przechodziły one z miejsca na miejsce, rozpusz-

czając co pewien czas swe wielkie skrzydła, jakby szykując się do lotu. Nieco na uboczu stał bez ruchu, z wyciągniętą szyją, jak żóraw — wartownik.

Jechaliśmy przez pewien czas w kierunku pasących się spokojnie dropi. Dopiero w odległości kilometra zaczęliśmy opisywać wielki łuk. Ptaki nas już dostrzegły. Podnosiły głowy i przez dłuższą chwilę nas obserwowały. Zwolna poruszaliśmy się dalej, zataczając mniejsze kręgi. W pewnym miejscu wypadłem z wozu i zaległem w trawie. Tatar mój wiedział co ma robić. Leżąc nieruchomo w bujnym kowylu (trawa, która rośnie tylko w stepach dziewiczych) śledziłem każdy ruch ptaków. Upłynęła już dobra godzina, a dropie na strzał nie podchodziły. Zacząłem tracić nadzieję, czy wogóle coś z tego będzie. Naraz podnoszę głowę i ze zdumieniem widzę, że dropie mam o jakie 50 kroków od siebie. Zrywam się więc na równe nogi i oddaję dwa strzały. Po chwili jeden drop zwolna osiada na ziemi i poczyna biec za odlatującymi ptakami. Nadjeżdża mój woźnica i wraz z Tatarem poczynamy gonić postrzałka. W pewnym momencie ptak ginie nam z oczu. Przeszukujemy każdą piędź ziemi, lecz bez skutku. Dopiero po dłuższym czasie wszedłem poprostu mu na ogon. Leżał z wyciągniętą szyją, popatrując uporczywie na mnie. Gdy Tatar chciał go podnieść, silnym ciosem dzioba odrzucił go od siebie. Dopiero Kirgiz, zaszedłszy od tyłu, nakrył go swą kapotą, i w ten sposób trofeum było nasze.

Łatwiejszym, lecz mniej emocjonalnym, jest polowanie na pokrewne dropiom ptaki, lecz znacznie mniejsze od nich i nie tak ostrożne, „strepety". Zbierają się one w stadka, jak nasze kuropatwy, mocno dotrzymują, a podrywają się z takimże hałasem, jak kuropatwy. Do tych ptaków strzelałem nieraz wprost z pojazdu; sztuka taka waży tyle, co dobra nasza kura domowa.

Napotykane rzeczki i strumyki obfitują w różnorodną rybę. Są to przeważnie pstrągi, które łowiliśmy na improwizowane naprędce haczyki ze szpilek, na chleb. Zwykłym naszym posiłkiem wieczornym była zupa z pstrągów, zaprawiona ryżem.

Zrzadka wśród stepów znajdują się niewielkie oazy leśne, podobnie jak w pustyni afrykańskiej. Tylko, że są to drzewa liściaste, podszyte krzewami, ulubione miejsce lisów i zajęcy białych. A w dolinach i wąwozach rośnie gęsta, kolczasta tarnina, ulubiona siedziba wilków. Nocując nieraz w pobliżu takiej tarninowej wyspy, słyszeliśmy przez całą noc wycie wilków. W końcu lata, gdy stepy pożółkną od promieni słońca, nadchodzi czas wypalania stepu i podpalania tarniny. Wtedy zaczyna się polowanie na wilki. Kirgizi dosiadają najbardziej rącze konie, a mając w ręku długie nahaje, zakończone gałką ołowianą, okrążają oazę tarniny, z której ogień i dym zmuszają do wyjścia wilki. Pościg wilków przez myśliwych trwa nieraz cały dzień. A że koń ma mocniejsze nogi od wilka, ten ostatni w końcu pada ofiarą, i w ten sposób przypłaca życiem rabunek owiec przez cały rok.

Pewnego razu rozbiłem namiot wpobliżu tarniny. Miało się już ku wieczorowi, gdy zauważyłem, że z gąszczów wychodzą jeden po drugim wilki, a było ich kilkanaście. Rude wilczyska posuwały się gęsiego w otwarty step. Odróżniałem wyraźnie starsze sztuki od młodszych, które szły pośrodku sznura. O jakich osiem kilometrów znajdowało się koczowisko Kirgizów z ich stadami. Wyczekawszy, gdy rabusie skryły się za górką, chwyciłem strzelbę, przypasałem dwa „nagany" i pośpiesznie udałem się na miejsce, skąd wyszły wilki. Dobrze wydeptana ścieżka, wyraźnie wskazywała, gdzie przeszła karawana wilcza. Ukryłem się o jakie kroków trzydzieści na brzegu tarniny, oczekując powrotu tych miłych gości. Cisza była dokoła, tylko wysoko nade mną wisiał w powietrzu orzeł stepowy (Aquilla orientalis), wypatrując zdobyczy i kwiląc żałośnie. Słońce już się skryło, a wilki nie powracały. Naraz usłyszałem odległe krzyki, tętent kopyt końskich, a za chwilę na widnokręgu dojrzałem kilkunastu jeźdźców, pędzących co koń wyskoczy w moją stronę. To Kirgizi gonili moich chwilowych sąsiadów, których narazie spostrzec nie mogłem. W pewnym momencie wyraźnie zobaczyłem rozproszone wilki, pędzące wprost ku mnie. Wielka samica pierwsza zbliżyła się na strzał. Pysk miała otwarty, z którego wyglądały białe jak śnieg zęby. Zziajana gonitwą, nic nie widziała i nie słyszała. Wycelowałem na komorę i pociągnąłem za cyngiel. Wilczyca przekoziołkowała się i pozostała na miejscu; zdążyłem jeszcze strzelić kilka razy, lecz bez skutku. Nadbiegli wreszcie Kirgizi i zaczęli okładać z koni nahajami nieżywą wilczycę. Aby odpędzić rozjuszonych dżygitów, musiałem zagrozić im rewolwerem, gdyż zniszczyli by mi skórę. Przepraszali potem bardzo, mówiąc, że poniósł ich szał złości, i zapraszając jednocześnie na ucztę, bowiem odebrano wilkom kilka baranów, już przez nich zarżniętych. Oczywiście zaproszenie skwapliwie przyjąłem.

Kirgizi, jak zresztą inne ludy wschodnie, mają swoje obyczaje, uświęcone tradycją, a które nie tak łatwo poznać. Będąc na przyjęciu u „aksakała", to jest naczelnika rodu, trzeba pamiętać, że je się baraninę, ten największy u nich przysmak, otrzymując gnat wyjęty z kotła rękami gospodarza, gdyż o nożach i widelcach wówczas tutaj nie słyszano. Jednocześnie podaje się w drewnianej miseczce barani łój, po kirgizsku „szurpa". Do takiego menu, trzeba posiadać zdrowy żołądek, albowiem to wszystko zapija się chłodnym kumysem, przechowywanym w „tursuku", to jest, worku, uszytym z końskiej skóry, zaopatrzonym w tłok, który stale porusza jeden z domowników. Kumys jest to świetny napój, tylko oczywiście nie wspólnie z łojem baranim. Kumys bywa dwojaki: z mleka kobylego i wielbłądziego; ten pierwszy jest o wiele smaczniejszy i zdrowszy. Lepiej jest, gdy europejczyk nie widzi, jak on się przyrządza. Lecznicze i odżywcze właściwości kumysu są ogólnie znane. Klacze, karmione produktami roślinnymi, wyhodowanymi przez człowieka, nie wydadzą właściwego kumysu. Za paszę musi im służyć trawa, rosnąca na ziemi, której od stworzenia świata nie dotknął lemiesz pługa.

Trawa taka zwie się „kowyl”. Jest to roślina spotykana tylko na stepach dziewiczych, a sięgająca do jednego metra wysokości. Gdy na początku lata rozkwita ona, to wyrzuca biały, długi pióropusz. Step wtedy wygląda, jak falujące morze, gdyż nie widać ani początku, ani końca jego. Kirgizi są bardzo długowieczni, nie chorują zupełnie na płuca, a zawdzięczają to wyłącznie działaniu kumysu na organizm ludzki.

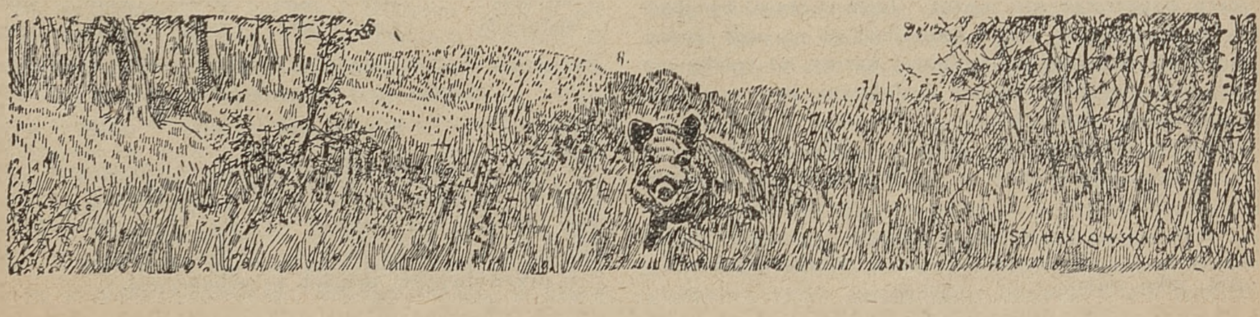
Polując w stepach na ptactwo, byłem pewnego razu świadkiem uroczystości, której nigdy nie zapomnę. Były to czasy, kiedy stepy kirgizskie kolonizowano elementem rosyjskim ze stron zachodnich. Tym samym uszczuplano obszary Kirgizów, zmuszając ich do stopniowego przejścia z życia koczowniczego do osiadłego. Tak się złożyło, że spory szmat stepu, położonego nad dużym jeziorem, miał przejść w ręce kolonistów. Rankiem jednego dnia zaczęli się schodzić Kirgizi nad jezioro. Gdy barwny ten tłum ucichł, jeden z aksakałów stanął u brzegu jeziora, wzniósł ręce do nieba i głosem tłumionym i przerywanym od wzruszenia, zaczął mówić: „Przyszliśmy do ciebie, nasze jezioro, aby pożegnać cię. Na przestrzeni długich lat, ty byłeś świadkiem naszej radości i naszego smutku. Kąpiąc się w twych wodach, wzrastali i mężnieli nasi dżygici. Dzisiaj żegnamy cię na zawsze. Lecz nie uchodzimy stąd, mając w sercach złe uczucia. Przeciwnie, błagamy cię, o Allachu, abyś zsyłał i na tych ludzi, którzy po nas tutaj będą, swe łaski, niech i oni doznają twej dobroci, jak myśmy jej doznawali przez tyle wieków”. Głos starca tutaj się załamał, opuścił on ręce, zwiesił głowę i długą chwilę stał bez ruchu. Tłum w głębokiej czci, jakby pogrążony w modlitewnej ekstazie, patrzał w toń jeziora. Patrzyli nań po raz ostatni w życiu. Za chwilę tłum się zakołysał i zwolna począł odchodzić. Niezapomniany obraz takiego wylewu uczuć tych ludzi pierwotnych pozostawił we mnie głębokie wrażenie.

Minęło już parę miesięcy mego pobytu wśród Kirgizów. Zżyłem się z nimi, poznając ich dodatnie i ujemne strony. Jak wszystkie ludy wschodnie, są oni urodzonymi dyplomatami. Posiadają wysoko rozwinięty dar spostrzegawczy, nieomylną wprost intuicję, która ich nigdy nie zawodzi. Przestrzegają prawa zwyczajowe aż do przesady; pod tym względem są konserwatystami do szpiku kości. Mają wysokie poczucie sprawiedliwości, ale dużo potrzeba czasu, zanim Kirgiz okaże dowód zaufania obcemu człowiekowi, albowiem z natury jest on nieufny. Należy dodać, że w handlu końmi potrafi on oszukać każdego, jak to się zresztą praktykuje i u nas, należy to bowiem, z ich punktu widzenia, do dobrego tonu.

Nadszedł wreszcie czas, że stepy te musiałem pożegnać. Gdy wyjawiłem któregoś dnia zamiar mojego odjazdu, w aule, gdzie ostatnio zamieszkiwałem, Kirgizi, porozumiawszy się uprzednio ze sobą, orzekli: „Gdy będziesz „tiura” (pan, naczelnik) wśród swoich ziomków, powiedz im, że naród nasz kocha i szanuje wszystkie narody, które darzą nas przyjaźnią swoją. Wynieś stąd przeświadczenie, że nie spotkała cię z naszej strony żadna krzywda (próbowali, dajmy na to, ukraść mi wierzchowca, ale to im się nie udało). Żegnaj więc, bądź o nas dobrej myśli i zachowaj najlepsze wspomnienia”. Muszę tutaj dodać, że retoryka w ich wysławianiu się odgrywa ogromną rolę. Każdy z nich, to na swój sposób filozof i poeta. Nieraz, w upalny dzień, jadąc konno w towarzystwie Kirgiza, słyszałem, jak on coś nucił pod nosem. Pytam, czy on się modli? Odpowiada, że nie. Okazuje się, że on po prostu improwizuje: cieszy się, że słońce świeci, że świat jest piękny, że mu zdrowie dopisuje, chwali więc niebiosa i Allacha za to wszystko.

Odprowadzano mnie bardzo uroczyście; było wystawne przyjęcie, z nieodzowną baraniną i kumysem. Na drogę dano mi zapas kumysu w specjalnie dla tego celu uszytym „tursuku”, oraz „kajmak” (ser z koziej śmietany), a na pamiątkę — „tiundruk” — kawałek wojłoku, który im służy do przykrywania otworu górnego w jurcie. Ja zaś, ze swej strony, pozostawiłem im w darze parę skór wilczych, całe pudło świecidełek dla pięknych Kirgizek i... dużo serca.

B. Zarzycki.



TADEUSZ ŚLIWIŃSKI.

ODŻYWIANIE ZWIERZYNY PŁOWEJ

Jeleń, o ile człowiek umie stworzyć mu właściwe warunki bytowania, jest stworzeniem nadzwyczaj wdzięcznym i wrażliwym. W ogrodzonej przestrzeni musi on mieć należytą karmę, a na wolnej przestrzeni odpowiednią paszę. Dowodzą tego doświadczenia Orłowskiego z jeleniem w Stajkowie, w Wielkopolsce, który doprowadził jelenia do fenomenalnego o 26 odnogach i jedenastu kg wieńca, karmiąc go gałązkami, koniczyną i owsem; dowiodły też doświadczenia F. Vogta, który jako główną karmę zastosował makuchy sezamowe.

Paszą nazywać będziemy pożywienie zwierzyny, którą ta znajduje sobie sama w warunkach naturalnych; karmą natomiast nazywamy żywność, dawaną jeleniom przez hodowcę, a sprowadzaną umyślnie dla wyżywienia.

Jeżeli idzie o jelenie na wolnej przestrzeni, czyli w warunkach bytu, jakie dać może pierwotny las, to warto przede wszystkim przytoczyć prace, które omawiają życie płowego zwierza w prawdziwej puszczy, jaką jest Białowieża. Profesor Wróblewski w książce p. t. „Żubr w Puszczy Białowieskiej" stwierdza, „że z danych anatomicznych i fizjologicznych można wywnioskować, iż głównym pokarmem jeleni są pędy drzewne, które są organami asymilującymi najniezbędniejsze składniki dla późniejszej wegetacji roślin". Roesfeld podaje podobnie, „że jeleń tam się chowa dobrze, gdzie las jest dziki, gdzie dużo dębu buku, dzikich jabłoni, dających zwierzęciu te owoce, gdzie wiele krzaków, jagód i wrzosu".

Nie można jelenia zaliczyć do trawożernych w ścisłym znaczeniu tego słowa, woli bowiem zwierz ten przede wszystkim ogryzać młode gałązki z krzaków i z drzew liściastych, które dają jego organizmowi to, czego najwięcej potrzebuje. W ogólnej ilości zawartości żołądka zabitego jelenia znajduje prof. Wróblewski 9,3% pokarmu trawiastego, natomiast pokarmu drzewnego — 90,6%. Jelenia zatem należy zaliczyć do pędożernych, na skutek czego ma on specjalne uzębienie oraz budowę szyi.

W niepodszytych lasach sosnowych, najistotniejszym pokarmem jelenia jest wrzos *), gałązki borówek i innych jagód leśnych. Rośliny te w znacznej mierze zastępują właściwy jeleniowi pokarm, t. j. pędy młodych liściastych drzew i dają mu w pewnej mierze potrzebne białko, witaminy i hormony. Utrzymanie zatem wrzosowisk, gdzie brak podszycia, stanowi u nas w wielu lasach nieodzowny warunek dla wegetacji jelenia. Wrzos zawiera według M. Neumeistra 3,7% surowej proteiny i 1% strawnego tłuszczu. Chcąc jednak hodować jelenia, na samych wrzosowiskach poprzestać nie można. Jeśli chcemy, by jeleń nie robił szkód w polu i lesie, jeśli go na ogół trudno znęcić na wolności do treściwej karmy, to trzeba mu dać pożywienie o składzie podobnym, jakie znajduje on w lasach pierwotnych.

Należy pamiętać, że zmiany, jakie zachodzą przy sztucznym zalesianiu i w ogóle przy uprawie ziemi, spowodowały ograniczenie naturalnej paszy tak pod względem jakościowym, jak i ilościowym. Nic dziwnego, że jeleń sprowadzony do Puszczy Białowieskiej przed kilkudziesięciu laty, rozmnożył się bardzo szybko, znalazł on bowiem w odwiecznej puszczy to, co mu było do życia najpotrzebniejsze, znalazł młode pędy roślin, które stanowiły jego naturalny pokarm, najbardziej odpowiadający uzębieniu, wielkości żołądka oraz kształtowi szyi i korpusu.



Jeleń, żywiony wytłokami sezamowemi.

Prof. Neumeister cytuje następujące dane, dotyczące zawartości surowej proteiny w młodych pędach dębowych gałęzi:

100 części pędów dębowych suszonych zawierały:

	Surowej proteiny	sur. tłuszczu	włóknika	kwasu fosforowego	wapna
z czerwca	19,69	3,01	15,97	0,565	0,889
„ sierpnia	13,25	2,38	20,60	0,240	1,161
„ listopada	5,40	2,05	31,94	0,146	1,052

100 części siana leśnego zawierało natomiast tych składników przy zbiorze w czerwcu:

-	8,10	1,43	29,71	0,258	0,170

Z powyższego wynika, że najodpowiedniejszym czasem do zbierania pędów czyli t. zw. liściarki, względnie chróstu, jest czerwiec ew. maj, przy czym chróst należy ścinać od ½ do 1 cm grubości, wiązać w pęki i w przewiewnych szopach przechowywać.

*) Wrzos na karmę najlepiej ścinać w okresie kwitnięcia, następnie suszyć i dawać go w zimowych okresach, jako siano.

Z przytoczonych analiz widzimy, że młode pędy drzewne zawierają dwa razy więcej proteiny i bezwodnika kwasu fosforowego, niż siano w najlepszym okresie rozwoju. Bardzo ważną jest uwaga profesora Wróblewskiego odnośnie wielkości żołądka jelenia w stosunku do wagi i wielkości ciała, w porównaniu z innymi leśnymi stworzeniami. Z tej zaś wynika, że „jeleniom potrzebny jest pokarm taki, który przy równej wadze z sianem miałby mniejszą od niego objętość, zawierając jednak tę samą ilość białka". Takim właśnie pokarmem jest młody pęd drzewny, ponieważ błonnik młodej porośli — przy uwzględnieniu tej samej wagi — posiada objętość mniejszą od błonnika traw. Dlatego też jelenie w puszczy pierwotnej, gdzie tych pędów leśnych jest dosyć, nie potrzebują makuchów sezamowych, jak to radzi w swych metodach hodowli jelenia Vogt. Widzimy to w Puszczy Białowieskiej, w której jelenie nie są zbyt dawno zaklimatyzowane, a które stale po wojnie 1914—20 r., dzięki znacznie zmniejszonej ilości pogłowia, oraz obfitej naturalnej paszy, poprawiają się i zaczynają dorównywać w wieńcach jeleniom karpackim, zyskując, jak to można było widzieć z ostatniej Międzynarodowej Wystawy w Berlinie, ponad 200 punktów Nadlera.

W celu wyświetlenia składników, mających związek z rozwojem wieńca, przytoczę szereg danych, dotyczących składu rogów, a później składu roślin, które służą płowej zwierzynie jako pożywienie, przy uwzględnieniu najbardziej istotnego składnika — kwasu fosforowego. Prof. Vessely przytacza następujący skład wieńców u jeleni, rogaczy i byków domowych.

	u jelenia	rogacza	byka domowego
Trójfosforanu wapniowego	87,72	87,34	84,38
Węglanu wapnia	5,00	5,40	7,03
Fluorku wapniowego	3,00	3,03	4,02
Pyrofosforanu magnezowego	2,83	2,66	3,50

Pozatym prof. Vessely znajduje, że w składzie kości jest:

	u jelenia	byka domowego
wody	7,95	9,75
popiołu	57,14	50,54

W 100 częściach wagowych popiołu z kości — znajduje tenże badacz:

	u jelenia	byka domowego
Trójfosforanu wapniowego	85,01	83,37
Węglanu wapnia	8,90	9,07
Fluorku wapnia	1,79	4,02
Pyrofosforanu magnezowego	2,40	0,88

Z tego widzimy, że kości i rogi są u jelenia pod względem zawartości składników nieorganicznych — bardzo zbliżone. Widzimy również, jak ważną z punktu widzenia hodowcy, jest kwestja dostarczania płowej zwierzynie fosforu. Jeśli by można było być pewnym, że zadawany w lizawkach jeleniom fosfor w postaci strawnej soli wraz z solą kamienną rozwiąże to zapotrzebowanie, byłoby to bardzo dobre załatwienie sprawy, lecz jest tu jedno „ale"... mianowicie bardzo jest trudno skłonić jelenia do systematycznego odwiedzania na wolnej stopie lizawek. Starszy jeleń do tego wszystkiego, czemu człowiek nadaje swoiste formy, czego się dotyka — odnosi się zawyczaj z nieufnością. Brak składników mineralnych w pożywieniu uzupełniają sobie jelenie częściowo przez obgryzanie kory z drzew, zwłaszcza młodych sosen, w której znajduje się daleko więcej surowej proteiny i substancji nieorganicznych niż w zeszłorocznych trawach, jakie mają wiosną do swej dyspozycji.

Znaczne ilości proteiny, a co za tym idzie fosforu, znajdują się w młodych liściach i gałązkach drzew i dlatego przygotowanie późną wiosną, a nie jesienią, liściarki, kiedy tych substancji jest najwięcej, będzie najbardziej celowe. W przytoczonej tablicy mamy zawartość azotu, wapnia i fosforu w naszych roślinach uprawnych:

	azot	bezwodnik kwasu fosforowego	wapień jako tlenek
żyto	1,40	0,85	0,09
pszenica	1,60	0,85	0,07
jęczmień	1,70	0,66	0,10
siano	1,30 — 3,00	0,59 — 0,70	0,25 — 0,95
owies—ziarno	1,80	0,85	0,16
owies—słoma	0,45 — 0,05	0,18 — 0,56	0,26 — 0,50
łubin—słoma	1,00	0,25	0,97
łubin—ziarno	4,80	1,42	0,28

Zostało ustalone przez W. Jonesa, F. Mischera i in., że fosfór w roślinach znajduje się w substancjach, zwanych kwasami nukleinowymi. W skład tych kwasów, prócz węglowodanów oraz zasad, należących do tzw. grupy „purynowej", wchodzi także i fosfór. Kwasy nukleinowe znajdują się w substancjach komorek roślinnych wespół z zasadami białkowymi. Tworzą one związki podobne do soli, które nazywają się „nukleproteidami" i one są właśnie źródłem fosforu w związkach organicznych. Tam więc, gdzie występuje w roślinach w poważniejszych ilościach białko roślinne — występuje przeważnie w znaczniejszych ilościach i fosfór. Z przytoczonej tablicy widać, że najwięcej fosforu ma ziarno łubinu, którego ilość wynosi 1,42%; do tej kategorii należy zaliczyć i wszystkie inne strączkowe, jak: lucernę, wykę, saradelę itp. Przy wiosennym zatem dokarmianiu jeleni, od lutego do lipca, wskazanym jest dawać jeleniom tego rodzaju karmę, aby wzmożone zapotrzebowanie na fosfor, ze względu na odrastanie wieńca, zostało pokryte.

Obsiewanie leśnych pastewników na mocniejszych ziemiach lucerną, a na słabszych — saradelą i zarezerwowanie pewnej ilości pokosów na okres odbudowy wieńców—przyczyni się u płowej zwierzyny w znacznej mierze do zaspokojenia głodu fosforowego.

Przy karmieniu płowej zwierzyny należy wziąść pod uwagę, że aby zwierz był mniej więcej nasycony, musi on mieć żer naturalny lub zadawaną karmę, o odpowiedniej ilości zasadniczych składników odżywczych, potrzebnych dla jego organizmu—a więc: białka, węglowodanów i tłuszczu, oraz aby karma zajmowała pewną objętość. Wzajemny stosunek tych składników w paszy nie może być stały, lecz zależny on jest od okresów bytowania zwierzyny, w czasie których zapotrzebowanie na poszczególne składniki będzie ulegało zmianie. Zimą organizm zwierza wymaga karmy, która zawiera jak najwięcej tłuszczu i węglowodanów, jako ciał dających najwięcej ciepła. W czasie rykowiska, gdy jelenie wykazują najwięcej ruchliwości i energii — potrzebna jest znów karma o większej zawartości azotu. Wiosną, w okresie odrastania wieńców byków, co u łań odpowiada ostatniemu okresowi ciąży — pokrycie zapotrzebowania dla odbudowy masy rogowej na fosfor i wapno jest zagadnieniem bardzo aktualnym i może być zaspokojone częściowo przez sporządzanie lizawek z soli kamien-

nej z dodaniem strawnego fosforanu wapnia, jak również przez zadawanie tego rodzaju karmy, jak makuchu sezamowego, groszku leśnego, łubinu i kapusty pastewnej, zawierających duże ilości proteiny.

Oprócz składników chemicznych o podstawowym znaczeniu odżywczym, trzeba uwzględniać jeszcze mechaniczną stronę trawienia, dla której jelenie samą treściwą karmą zadawalniać się nie mogą; w tym celu należy uzupełniać pożywienie paszą objętościową, jak: sianem, słomą, owsianką itp.

Ogólnie przyjęto, że jeleń potrzebuje, w zależności od wieku, od 20 do 30 kg. karmy na dobę, która powinna zawierać około 1,5 — 2 kg. białka, 12 kg. substancji bezazotowych, oraz 0,3 kg. tłuszczu. Jeśli karmimy jelenie sianem z łąk kwaśnych, to takowe w 30 kg. nie zawiera potrzebnej ilości białka i tłuszczu, a więc należy dawać siana tylko w 2/3 lub 3/4, a jako resztę — saradelę, makuchy, owies. Mieszanina dwóch lub więcej pasz jest wogóle najkorzystniejsza, wówczas bowiem wnoszone są do organizmu różnorodne organiczne i mineralne substancje, które często, nawet w bardzo nieznacznej ilości, potrzebne są dla życia i różnych fizjologicznych czynności organizmu. Są rewiry, gdzie jeleniom daje się zbyt dużo karmy. Nie jest to wskazane. Zwierzyna płowa musi częściowo żyć w warunkach zbliżonych do naturalnych, t. j. sama zdobywać sobie pożywienie.

Opierając się na badaniach, dotyczących żywienia bydła — dr. Max Neumeister podaje, że jelenie potrzebują minimalnie 20 gr. fosforanu wapniowego na dobę. Jest to według mnie ilość zbyt mała, szczególnie wiosną; wszak i z różnymi wydzielinami wydala się pewną ilość fosforu i wapna. Według Raesfelda — w 100 częściach świeżej materii rogowej znajduje się u jeleni 48 — 50% popiołu, a popiół z rogów zawiera 42,19% kwasu fosforowego i 51% wapna.

c. d. n.

T. Śliwiński.

JERZY OŚWIECIMSKI.

Z SERCEM W GARDLE

(kartki z pamiętnika myśliwskiego).

Niezapomniany ś. p. Julian Ejsmond stworzył arcytrafne powiedzenie o sercu, które dochodzi do gardła. Ten nonsens z anatomicznego punktu widzenia jest dobrze nam, myśliwym zrozumiały. Bo właśnie myśliwym „serce podchodzi do gardła", a chwile te, na ogół rzadkie, to chwile największych emocyj, najgłębszych wzruszeń, coś, co przychodzi nagle, trwa krótko i znika, w pamięci jednak pozostaje nazawsze. O takich chwilach marzy prawdziwy myśliwy, gdyż jest to największe szczęście, jakiem może obdarzyć Św. Hubert.

A nasz Patron upodobał widocznie sobie moją osobę, gdyż w ostatnich czasach parę razy serce w mej piersi dziwne wyczyniało wędrówki.

Raz, było to niecały rok temu w ośnieżonej Lipiczańskiej puszczy, gdy słyszałem zbliżający się tętent dziczego stada...

Drugi raz było to ostatniej wiosny na dziśnieńskim mszarze, kiedy o wiosennym brzasku stałem pod pieśnią głuszca — pierwszy raz w życiu...

Trzeci raz...

Padały duże, ciężkie, mokre płaty śniegu, a w serca myśliwskie wstępowała nadzieja. Może nareszcie po tylu dniach czarnej stopy nastanie ponowa i los pozwoli zapolować na coś grubszego.

Tak rozmyślaliśmy z bratem ciotecznym, Włodziem, patrząc przez szyby na ośnieżony gazon, oficynę i na majaczący w dali w śnieżnej powodzi las Łapiski. Dotychczas, a było to podczas feryj Bożego Narodzenia 1936/37, polowaliśmy przy ohydnej pogodzie na Wigilię i dwa dni temu. Polowania zupełnie przeciętne — zabiliśmy po parę zajęcy.

Ale teraz, zapatrzeni w te ogromne kawałki jakby waty padającej z nieba, nie myśleliśmy o pospolitych zającach. Myślą, ja przynajmnicj, byłem tam, gdzie na dziewiczej karcie śniegu widniały dzicze lub wilcze tropy.

I wtem zaczęło się wszystko, jak w bajce, czy sensacyjnej powieści.

„Siedem wilków otropionych w Łopatowskiem" — z tymi słowami wpadł do przedpokoju, gdzie właśnie żegnaliśmy się z odjeżdżającymi do miasta krewnymi, Wuj Józio, a ojciec Włodzia.

Staliśmy chwilę oszołomieni, a potem zaczęliśmy się na gwałt wypytywać o szczegóły. Wuj z telefonicznego meldunku wiedział tylko tyle, że sprytni gajowi zdołali, mimo, że śnieg zaczął padać dopiero w nocy i padał bezustanku, zasypując tropy, „obciąć" w jednym z kwartałów Łopatowskiego obchodu siedem wilków, no i zameldować o tym Wujowi.

Właściciela majątku p. L. Cz. nie było w domu, ale mimo tego Wuj porozumiawszy się telefonicznie i nastawiwszy odpowiednio jego synów sprawił, że zapadła decyzja natychmiastowego zapolowania na te wilki bez powiadomienia nawet, jak to było w zwyczaju , sąsiedztwa. Telefon do Sawowszczyzny o sznury i naganke, przebieramy się, loftki do kieszeni, strzelby, sami do samochodu i w pół godziny jesteśmy już na zbornym punkcie w lesie.

Naganka i sznury z chorągiewkami pojawiły się prawie równocześnie, acz zdawało mi się, że długo będziemy na nie czekali.

Z uczuciem radości i... lęku stanąłem na wskazanym mi przez Wuja stanowisku koło kopca granicznego.

Radości — bo oto tu gdzieś przed nami leży siedem burych ciał, z których może właśnie ja... A lęku na myśl, co będzie gdy wilki na mnie wyjdą, a ja spudłuję; hańba i miano pudlarza wtedy na wieki.

Jak mogę, staram się opanować, zagryzam wargi i ścieram wciąż z luf padający bez ustanku śnieg.

Przede mną jednostajny, bardzo gęsty młodniak brzozowo-osinowy. Kombinuję mniej więcej, jak na mnie może wyjść wilk i gdzie go będę strzelał. Jak na złość nigdzie żadnej przesieki ani dróżki, wszędzie taki sam gąszcz, przez który widać zasadniczo nawet dość daleko, ale strzelać bardzo trudno. Chyba tylko

na linii, ale to już ostateczność, bo linia wąska, a za nią państwowy las, dla nas „tabu". Nic więc dziwnego, że moje obawy co do pudła były co najmniej uzasadnione.

I jeszcze akurat, tak nie w porę, przypomina się mi ów fatalny wilk sprzed dwóch lat w mozejkowskiej kniei. Psiakość!



To nie członkowie Ku-Klux-Klanu – to naganiacze z workami na głowach.

Serce zabiło mi mocniej. Trąbka jakimś przytłumionym, zapewne z powdu śnieżycy, echem ozwała się na prawym skrzydle naganki, a po chwili na lewym i pośrodku. Kilkanaście sekund ciszy, a potem wytężony słuch łowi dolatujące pohukiwania naganki. Staram się wzrokiem przeszyć gęstwinę, patrzę nawprost, w prawo w lewo. Naganka zbliża się, a wilków nie ma. A przecież to nie zające, powinny już być. Czyżby coś było nie w porządku? Może gajowi pomylili się przy tropieniu?

Zwątpienie zaczyna się wkradać w duszę i uspokajam się powoli. Nagankę słyszę coraz bliżej. Więc napewno nie ma.

Mija tak parę minut.

Drgnąłem. Coś szarego mignęło w dali w drągowinie na wprost mnie. Jeszcze chwila i widzę wyraźnie. Wilki. Dwa. Oba idą ukośnie z kierunku na wprost mnie w stronę linii myśliwych między mną a moim lewym sąsiadem, przy czym nie jeden za drugim, ale w odległości 20 kroków jeden od drugiego. Postanawiam, a właściwie trudno mówić postanawiam, gdyż (co tu obwijać w bawełnę) odbyło się to prawie machinalnie i gdy bliższy wilk był ode mnie o jakieś 30 kroków strzelam poprzez gąszcz. Wilk przechodzi w galop, kilka susów i jest na linii, strzelam z drugiej lufy, wilk niknie w krzakach za linią.

O Boże! Taka okazja! Podwójne pudło na 30 kroków! Świat zawirował pode mną, reputacja moja strzelecka poleciała w przepaść. Jest taki moment, że klnę nawet wilki za to, że na mnie wyszły.

Wrzawa na linii naganki przywołuje mnie niejako do porządku. Wszak jeszcze pięć wilków powinno być w miocie (drugi wilk z tej pary idącej na mnie przeszedł niestrzelany przez linię). Miłe uchu myśliwego okrzyki: „Wouk, wouk, pierenimaj!" upewniają mnie o tym. Zły, zdenerwowany, zrozpaczony, czekam strzałów na linii myśliwych. Jakoż istotnie pada jeden z lewej strony, potem chwila przerwy, naganka jest już zupełnie blisko, gdy naraz z prawej strony wzdłuż linii myśliwych pędzi w moją stronę przez gęstwinę wilk. Łapię moment, strzelam, wilk zarywa się nosem w śnieg, lecz idzie dalej. Chcę „poprawić" z lewej, lecz jest tak gęsto, że nie mogę strzelić i wilk niknie w lewo wskos ode mnie, gdzie stoi tylko jeden myśliwy i jest już flank z chorągiewkami. Czekam z tej strony strzału — wszak wilk przyparty w kąt między nagankę i chorągiewki, aczkolwiek może i jest przezemnie trafiony, to jednak idzie jeszcze dobrze i musi wyjść na mego sąsiada z lewej strony, który go z pewnością położy.

Znowu zmarnowana okazja! Dwa wilki jednego dnia! Pierwszy spudłowany, drugi może i trafiony, ale oto zaraz rozlegnie się z lewej strony strzał, który przypieczętuje moją klęskę. Święty Hubercie! Ty jeden zrozumiesz, co się wtedy ze mną działo!

„Dziarży, dziarży" — rozlega się z lewej strony okrzyk naganki. Miast oczekiwanego strzału, niebywała wrzawa, chwila ciszy i naraz okrzyk naganiacza, okrzyk, który był mi wtedy wszystkiem: „Jość, biary jaho... (dalszy ciąg, dotyczy matki wilka, nie do powtórzenia).

A więc trafiłem, raniłem wilka, a naganiacze go dobili! Chwila, naganka jest już na linii, widzę zdaleka, jak niosą mego wilka. Szalony z radości biegnę na spotkanie, a gdy mijałem miejsce mego drugiego strzału do pierwszego wilka, zatoczyłem się jak pijany. Za krzakiem jałowca, po drugiej już stronie linii leżał wilk. Znów świat zawirował przede mną, tylko tym razem było wszystko nadzwyczaj różowe.

Bo co za szczęście! Co za skala wrażeń! Chwilę temu byłem zrozpaczony, oba moje wilki, zdawało się diabli wzięli, a tu taka niespodzianka! Z radości rzucam się nadchodzącemu Wujowi Józiowi na szyję.

Zbieramy się wszyscy i opowiadamy sobie szczegóły z tego tak wspaniałego dla mnie miotu. Okazuje się, że reszta t. zn. cztery wilki przeszła przez sznury i nagankę i na strzał nie wyszła. Pierwszy mój wilk, jak skonstatowałem, dostał cały drugi strzał (loftki z 20-ki Husquarna zatrzymały się z drugiej strony pod skórą) i padł ani drgnąwszy za krzakiem po drugiej stronie linii, czego ja, z racji tego właśnie krzaka, nie widziałem. Drugi zaś wilk, trafiony drobniejszymi loftkami na jakieś 40 kroków, szedł jeszcze dalej, wyszedł na mego sąsiada z lewej strony, który, mając jednak głęboko zakorzenione poczucie etyki myśliwskiej i dżentelmenerii, nie strzelił do słaniającego się wilka (a iluż by myśliwych uległo pokusie — wilk przecież byłby pewny) i na jego oczach naganiacze kijami wilka tego dobili. Przedtem, jeszcze po moich dwóch pierwszych strzałach tenże sąsiad, widząc między mną a nim szary cień przeskakujący linię, strzelił kulą i, tak jak ja, nie widział rezultatu strzału. Okazało się, że zabił on sarnę kozę. Konsternacja sąsiada była wielka, lecz my wszyscy zgodnie orzekliśmy, że nie ma tu najmniejszej jego winy, gdyż słysząc strzały i w chwilę potym widząc w tym samym prawię miejscu, co wilki, szary cień, przy śnieżycy i w gąszczu łudząco podobny do wilka i migający przez ułamek

sekundy przez linię, trudno nawet było przypuścić, psychologicznie rzecz biorąc, że to sarna.

Wracamy do samochodów, którymi przyjechaliśmy i tu melduje nam gajowy, że jeden z wilków, które przerwały się przez nagankę, przeszedł niedaleko samochodów wgłąb „naszych” lasów. Chwila narady i decydujemy się na zgoła oryginalny proceder. Oto ponieważ wilk poszedł w stronę kilku przecinających lasy drobnych dróg, postanawiamy, korzystając z samochodów, przyłapać go na którejś z tych dróg, jeden zaś z gajowych ma iść tropem i trąbić co pewien czas dla naszej orientacji.

Rezultat tego zmotoryzowanego polowania był nadspodziewany. Dosłownie osaczamy wilka w kilkuhektarowym kawałku sosnowych młodniaków. Z jednej strony ich jest gajowy, trąbiąc, że ślad wchodzi do młodniaków, z drugiej na drodze stoimy my gotowi do strzału. W ostatniej chwili wilk wymyka się bokiem.

Zmrok już, śnieżyca ustała, bierze lekki mróz. Wracamy do domu. Włodzio cieszy się nadzieją jutrzejszego dobrego polowania na zające i lisy, na które zostaliśmy już parę dni temu zaproszeni. A mnie po dzisiejszym sukcesie jest tak wszystko jedno, czy zabiję jutro dwa, dziesięć czy żadnego zająca. Zdaje mi się, że oto dziś Św. Hubert skomasował emocje myśliwskie z paru lat i obdarzył mnie tą sumą w ciągu paru chwil.

O gdybyż tak można było przeżyć te chwile jeszcze raz! Niestety dzień 7 stycznia 1937 r. oddala się coraz bardziej, acz w pamięci mej pozostanie na zawsze, a w sercu mym zapisał jeszcze jeden dług wdzięczności wobec pp. Cz (nie mówiąc oczywista o drogim



Z wyprawy filmowej do Białowieży.

Wuju Józiu), dzięki uprzejmości których danym mi było już nie raz przeżywać najszczęśliwsze chwile w życiu myśliwego.

Jerzy Oświecimski.

Wilno, luty 1937 r.

Inż. LUDWIK BROEL PLATER.

PÓLKA KARMNE W LESIE

(Napisane w oficerskim obozie jenieckim w Murnau).

Wszędzie tam, gdzie mamy do czynienia z większymi kompleksami leśnymi, trudno sobie wyobrazić prowadzenie racjonalnej gospodarki łowieckiej bez zakładania poletek dla zwierzyny. Zadaniem ich jest przede wszystkim dostarczanie odpowiedniej ilościowo i jakościowo zielonej paszy, złożonej z płodów rolnych, których zwierzyna, mająca swą ostoję w najgłębszych zakątkach lasu, jest całkowicie w ciągu dnia pozbawiona, a którą osiągnąć może dopiero nocą, po długiej wędrówce na otaczające las uprawne grunta. Mając w rewirze naszym pólka łowieckie, możemy doprowadzić do równomiernego rozdziału zwierzostanu na całym leśnym terenie; dalej do wydatnego zmniejszania szkód, wyrządzanych przez zwierzynę; wreszcie dzięki stworzeniu sprzyjających warunków pod względem paszy, pólka nasze przyczynią się doskonale do silnego związania zwierzyny z raz obraną ostoją, a przez to do zredukowania strat wynikłych na skutek wychodzenia jej poza granice rewiru, na obce i niebezpieczne tereny.

Nie jest zadaniem pólek łowieckich dostarczanie paszy na zimę w formie np. okopowych, które to płody bywają niejednokrotnie polecane jako nieodzowna część płodozmianu, bez której pólko nie spełnia swojej roli; pólka nasze położone zazwyczaj na lekkiej glebie, dadzą pod tym względem zawsze gorsze wyniki od uprawnych łanów, gdzie masowa produkcja okopowych jest z dawien dawna usystematyzowana i dzięki temu tania. Nie znaczy to, byśmy mieli skąpić zwierzynie smacznych i zdrowych bulw okopowych, przeciwnie, wywieziemy do lasu niejedną skrzynię ziemniaków i wysypiemy je w małych porcjach na pólku łowieckim dla dogodzenia dzikom i jeleniom; podobnie postąpimy z burakami, a może i marchwi nieco zdobędziemy w gospodarstwie dla rozłożenia jej wczesną jesienią w rewirze, jako lekarstwo dla naszych sarn. Ten sposób załatwienia sprawy przyjmiemy jako zasadę, nie zaś forsowanie uprawy okopowych na niewdzięcznych leśnych glebach.

Warunkiem spełnienia zadania przez pólka łowieckiej jest ich należyta uprawa, nawożenie, oraz terminowe wykonanie wszystkich prac, związanych z ich obsiewem, sprzętem itp. i pod tym względem musimy je postawić co najmniej na równi z polami uprawianymi, a nie tak jak się to często zdarza, odkładać pracę na nich do wolniejszej chwili, gdyż w tym ostatnim wypadku niewielka korzyść, jaką z nich będzie miała zwierzyna, nie będzie w żadnym stosunku do poniesionych kosztów i trudów. Tam, gdzie uprawa np. 6 ha rozrzuconych po lesie pólek miałaby nastręczać poważniejsze kłopoty, jest znacznie lepiej zacząć od powierzchni choćby mniejszej, ale zato dobrze za-

silonej i pielęgnowanej; zwierzyna więcej skorzysta z tej małej, lecz kulturalnej powierzchni, aniżeli z dwa razy większego obszaru odłogów. Zatem jak wszędzie, tak i tutaj, lepiej zacząć od małego, a nie puszczać się z miejsca na szerokie wody, których opanowanie mogłoby sprawiać trudności i wymagać nadzwyczajnych wysiłków.

Rozróżniamy dwa rodzaje pólek łowieckich: stałe i przejściowe. Pierwsze są to te, które zaprojektowane przez doświadczonego, znającego swój las i jego potrzeby gospodarza, stanowią podstawową rzadką siatkę w rewirze, położoną raczej w jego środku, aniżeli na brzegach; drugie, to pólka zakładane dorywczo, w miarę potrzeb zwierzyny oraz możliwości, wynikających ze zmian w lesie na skutek jego zagospodarowania, a więc np. na świeżych zrębach, których części wzięto na 1 — 3 lata pod uprawę. Stanowią one uzupełnienie pólek stałych, wypełniając luki tamtej rzadkiej siatki i bywają częściej wysuwane ku skrajowi rewiru.

Gdzie można sobie pozwolić na pólka stałe, winny one być w całości lub w części ogrodzone siatką drucianą, lub innym łatwo usuwalnym i tańszym oparkanieniem, celem ochrony zasiewów przed zwierzyną; oprócz oparkanienia zewnętrznego pólko bywa rozdzielane i na wewnątrz na 2— 3 części, rozgradzane stopniowo, w miarę potrzeb zwierzyny i dojrzewania poszczególnych płodów. Stałe pólka bywają nawożone obornikiem, co podnosi ich wartość i ułatwia uprawę bardziej wymagających roślin. Pólek przejściowych, jako gruntu przeznaczonego do produkcji drewna, nie nawozimy obornikiem nigdy, a zasilamy je nawozami mineralnymi w ilości potrzebnej dla udania się zasianej nań rośliny.

Wielkość pólek możemy wybrać z punktu widzenia ich przydatności dla zwierzyny zupełnie dowolnie; najmniejszy skrawek uprawnej powierzchni winien być wynaleziony i wykorzystany. W praktyce jednak przeciwstawia się zbytniemu rozdrobnieniu poszczególnych powierzchni wzgląd na dogodny do nich dostęp i obróbkę sprzężajem, poza tym sprawa dostępu światła, wreszcie wzgląd na wypalające działanie promieni słonecznych odbitych od pni otaczających drzew. W fachowej literaturze panuje przekonanie, iż w warunkach leśnych nie należy zakładać powierzchni uprawnych mniejszych od 0,25 ha, a praktyka potwierdza słuszność tego założenia, w każdym razie tam, gdzie pólka umieszczone zostają w wysokim drzewostanie. Co innego, gdy mamy do czynienia z większymi kompleksami kultur czy młodników, lub z pólkami przejściowymi, zakładanymi na świeżych wyrębach; tam warunki oświetlenia i promieniowania, względnie łatwego dostępu są tak dobre, iż wzgląd na nie możemy całkowicie pominąć i każdy kawałek lepszej ziemi na założenie pólka wykorzystać.

Kształt, jaki naszym rozsianym w lesie powierzchniom nadamy, jest jedynie zależny od miejscowych warunków; najczęściej stosowaną i najwygodniejszą formą będzie kwadrat np. 50 × 50 m, bądź też prostokąt np. 25 × 100 m itd. Im dłuższe pólko, tym łatwiej je uprawiać; z drugiej strony szerokość pólka winna być dobrana zarówno do indywidualnych wymagań uprawianej rośliny, jako też do ekonomii uprawy (szerokość siewnika itp.). Gdzie wchodzi w grę ogrodzenie, tam zwykle wybieramy kształt zbliżony do kwadratu, jako najekonomiczniejszy.

Trudno jest określić cyfrowo **powierzchnię pólek łowieckich, przypadającą na ogólny obszar leśnego rewiru**, gdyż zależy ona od szeregu czynników takich, jak zamożność lasu, jego wielkość i granice, ilość zwierzyny itp.; w każdym poszczególnym wypadku należy je wszystkie wziąść pod uwagę przed powzięciem decyzji. Dla większych leśnych obszarów (1000 ha i powyżej) w jednym kompleksie, na średniej glebie, przy dobrym stanie zwierzyny grubej i sprzyjających granicach, oraz przy istnieniu w lesie kulturalnych łąk i dostępie choćby z jednej tylko strony do własnych pól lub dzierżawionych łowisk polnych — 2—3 ha stałych pólek łowieckich na 1000 ha lasu winny naszym zdaniem w dostatecznej mierze spełnić swoje zadanie.

Co się tyczy wyboru miejsca na założenie pólka, to w pierwszym rzędzie musimy pamiętać, że większą korzyść odniesie nasz zwierzostan w licznych, tu i tam wśród rewiru rozrzuconych mniejszych obszarach uprawnych, aniżeli by miało to miejsce w wypadku założenia np. jednego pólka o powierzchni odpowiednio większej. Biorąc do ręki mapę rewiru zaprojektujemy z grubsza rozmieszczenie poszczególnych poletek, powodując się znajomością terenu i jego granic oraz ostoi zwierzyny. W samym już terenie, poprzednio oznaczony rejon będzie nas obowiązywał jedynie bardzo luźno, z tym, że przy większych obiektach leśnych odchylenie o 100 — 200 m, nawet przeniesienie pólka do innego, niż planowanego oddziału nie będzie miało poważnego znaczenia. Tu bowiem w grę wejdzie czynnik szczegółowej analizy terenu, przede wszystkim oceny gleby, a i względów estetyki nie wolno pominąć, mając w tej chwili w ręku jedyną okazję stworzenia na lat parę mniej lub więcej malowniczego zakątka.

Nasze pólko winno być tak umieszczone, by zwierzyna korzystać mogła z niego spokojnie i bezpiecznie, o każdej porze dnia i nocy, by mogła się doń dostać bez konieczności przebywania po drodze otwartych, czy też zagrożonych przestrzeni, by panująca pogoda czy też pora roku nie miały wpływu na wygodę tego dostępu. Umiejscowimy je zatem gdzieś w spokojnej części lasu, zdala od dróg czy ścieżek publicznych, wpobliżu dziennej ostoi zwierzyny, nie wewnątrz zwartego zagajnika, a raczej na jego styku z drągowizną, czy też starodrzewiem, którą to stroną w razie deszczu może zwierzyna wygodnie i sucho nęcącą paszę osiągnąć.

Gleba stanowi zasadniczy czynnik przy wyborze miejsca pod łowieckie pólko, to też w wypadku dużej rozmaitości w charakterze gruntu leśnego należy raczej dać pierwszeństwo dobremu siedlisku, aniżeli powodować się innymi czynnikami. Trzeba umieć pogodzić z sobą wszystkie wymagania, pamiętając o tym, że na gorszej glebie rezultaty będą zawsze gorsze i droższe.

Przechodzimy teraz do uprawy. Przygotowanie gleby polegać będzie z jednej strony na uprawie mechanicznej, na oczyszczeniu powierzchni z zadarnionej pokrywy, z kamieni i korzeni, na powierzchownym wyrównaniu, z drugiej strony na dostarczeniu glebie odpowiedniej ilości składników mineralnych, celem wyrównania ich dotychczasowego braku i stworzenia odpowiedniego ich zapasu na przyszłość. Od dokładnego wykonania mechanicznej uprawy zaraz w pierwszym roku zależeć będą w dużej mierze rezultaty lat następnych; podorywka będzie tu zawsze konieczną, a po jej dostatecznym odleżeniu się i przegniciu przy-

krytych części roślinnych dalszą uprawę prowadzić będziemy za pomocą brony i głębokiej orki, lub w poszczególnych wypadkach uciekniemy się do brony talerzowej i kultywatorów.

W wypadku, gdy pólko będzie nam potrzebne dopiero za parę lat, postąpimy celowo, obsiewając naszą powierzchnię wiecznym łubinem, który traktować tutaj będziemy jako cenny przedplon, nadający glebie odpowiednią strukturę, wzbogacający ją w azot i próchnicę. Po 2—3 latach przeorzemy całość wczesną jesienią, otrzymując w ten sposób cenne i bogate w składniki podłoże dla siewu. Na wrzosowiskach dobrze jest zedrzeć całą pokrywę kultywatorem, zgrabić wrzos na kupy i spaliwszy je rozsypać popiół równomiernie po całej powierzchni; wówczas sprężynować jeszcze raz na krzyż i zabronować, a na 14 dni przed siewem zasilić glebę nawozami mineralnymi. Bardzo dobrym sposobem wzbogacenia gleby pod pólko łowieckie, a także pod remizę, jest następujący: jesienią zwozimy na obrane miejsce łęciny ziemniaczane w takiej ilości, by stworzyć z nich warstwę 30—40 cm wysokości; pod wpływem czynników atmosferycznych, działających w ciągu zimy, warstwa ta w dużej mierze się rozłoży, a zawarte w niej poprzednio mineralne składniki spłyną do gleby; wiosną przyorzemy całość starannie i po należytym odleżeniu się przystąpimy do obsiewu. Sposób ten, stosunkowo bardzo tani, powtórzony przez 2—3 lata, daje doskonałe rezultaty; gdzie łętów ziemniaczanych miało by zabraknąć, możemy zastąpić je częściowo słomą łubinu, która odda te same usługi.

Gleba leśna zawiera, jak wiadomo, nieco kwasów, to też pierwszym naszym zadaniem na nowopowstałym pólku będzie ich zneutralizowanie za pomocą odpowiednio wymierzonej dawki wapna; 10—20 q 85%-go wapna niegaszonego wystarczy na 1 ha w zupełności, a nawet powstanie w glebie pewien zapas tego składnika na przyszłość; wobec tego, że normalne zużycie wapna przez rośliny polne wynosi ok. 2 q rocznie na 1 ha, co parę lat będziemy musieli odnawiać uszczuplony jego zapas w glębie odpowiednio obliczonymi dawkami (co 3 lata po 8—10 q na - ha). Najlepiej będzie, jeżeli wapno rozsypiemy na podorane późnym latem i wyrównane pólko bezpośrednio przed głęboką orką, a więc późną jesienią, lub też wysiejemy je na głęboką orkę — wówczas jednak należy je dokładnie sprężynówką zmieszać z glebą.

Wiosną, na 2—3 tygodnie przed obsiewem świeżo założonego pólka, zasilimy glebę dalszymi składnikami mineralnymi, mianowicie: fosforem, potasem i azotem. (Jeżeli mamy zamiar uprawiać na początku takie „zbieracze azotu" jakimi są łubin i seradela, wówczas dawkę azotowych nawozów możemy całkowicie pominąć). W tym celu dajemy na 1 ha powierzchni uprawnej 4—6 q tomasówki, 2 q 40% soli potasowej (na bardzo lekkich glebach lepiej dać zamiast tej ostatniej 4—6 q kainitu) oraz 1 q azotniaku, i wszystko starannie wbronujemy. Przy terminowym i dokładnym wykonaniu prac możemy być pewni, że pólko nasze rodzić będzie bujnie, zwłaszcza, gdy i w przyszłości, po każdym sprzęcie z pólek, względnie na parę tygodni przed nowym ich obsiewem, damy każdorazowo, zmniejszone wprawdzie, ale zawsze wszechstronne, dawki sztucznych nawozów, a mianowicie przed siewem (zwykle wczesną jesienią) po 2 q tomasówki, 1—1,5 q soli potasowej i 1 q azotniaku. O ile się okaże, że zasiana ozimina została w ciągu zimy silnie przygryziona, nie należy wiosną żałować dawki szybko działającego azotu. Zasadą gospodarowania w pierwszych latach po założeniu pólka winna być uprawa takich roślin, które są znanymi zbieraczami azotu, tego najdroższego mineralnego składnika, a które poza tym dostarczą dzięki swej przyoranej masie dużej ilości próchnicy. Łubin i seradela oddadzą nam tu nieocenione usługi, to też zrobimy najlepiej, gdy w pierwszym roku ograniczymy się do uprawy wyłącznie tych dwóch roślin, po przeoraniu których śmiało będziemy mogli przystąpić do wprowadzenia dalszych pożytecznych i cennych gatunków.

Jakież są te gatunki i czym się charakteryzują? Jest ich całe mnóstwo, poczynając od zwykłych zbóż i pastewnych, a kończąc na rzadziej spotykanych odmianach i krzyżówkach nie dosyć reklamowanych i o których wiadomość nie dotarła jeszcze do większości leśników. W grę wchodzić tu będą: żyto świętojańskie, łubin, seradela, tatarka, słoneczniki, gorczyca, owies, bobik, wyka i peluszka, rzepa ścierniskowa, groch, rzepak i rzepik, kapusta pastewna i kapusta mięsisto-pastewna, oraz wszystkie motylkowe, uprawiane w polu, wreszcie z roślin zimotrwałych: łubin wieczny, żywokost i topinambur. Większość tych roślin znamy doskonale i potrafimy ocenić ich wartość dla zwierzyny, pozostaje nam zatem scharakteryzować tylko niektóre.

Żyto świętojańskie ma za sobą długoletnie tradycje uprawy na łowieckich pólkach i najlepsze rezultaty. Jest chętnie przez zwierzynę jedzone i pod tym względem jest niezastąpione w ciągu jesieni, zimy i wiosny. W stosunku do gleby ma minimalne wymagania, udając się zarówno na lekkich, jak i na ciężkich siedliskach, winno zatem znaleść miejsce tak na stałych, jako też na przejściowych pólkach łowieckich. Siew 60—80 kg na 1 ha przy siewie siewnikiem jest dostatecznie gęsty. Pora siewu: koniec maja do lipca — wówczas, w razie zbytniego wybujania, daje się kosić bez szkody jesienią; wiosną (po mrozach) wcześnie strzela w źdźbło, ale też wcześnie schodzi z pola, umożliwiając pomyślny rozwój wsiewki, lub następnej rośliny.

Owies jest zbożem cenionym przez całą zwierzynę, a doskonałe jego ziarno stanowi jedyną paszę treściwą, jaką mamy do dyspozycji; powinien być więc częściej niż dotąd w lesie uprawiany, a na naszym pólku nie może go zabraknąć. Gdy wraz z owsem posiać nieco wyki i przed dojrzeniem skosić tę mieszankę, pozyskamy wspaniałą paszę zimową; gdy dać weń wsiewkę seradeli, to po sprzęcie owsa daje ona paszę do późnej jesieni. Lepiej siać owies nie za wcześnie, wówczas dochodzi on na pólkach wtedy, gdy w polach jest już pusto i bywa przez zwierzynę tym więcej ceniony.

Zamiast okopowych poleca się wprowadzić na pólka **kapustę pastewną** i pokrewną jej **kapustę mięsisto-pastewną**. Obie odmiany dają w ciągu lata doskonałą ochronę, a jesienią i zimą wielką ilość soczystej i smacznej paszy, chętnie przez zwierzynę jedzonej. Łodygi i liście tych roślin wytrzymują jakoby mrozy do 15 stopni, wymagania tych roślin w stosunku do gleby nie są wielkie; podstawę stanowi zasilenie w składniki mineralne: dając na 1 ha 3 q tomasówki, 2 q soli potasowej i 2 q azotniaku, rezultaty otrzymane przejdą zapewne nasze oczekiwania, uprawa łatwo osiągnie 1,5 m wysokości i wyda 500—600 q zie-

lonej masy z 1 ha; zbywające na pólku rośliny będziemy mogli wywozić do lasu i obdzielić nimi całą naszą zwierzynę. Wobec taniości nasienia, można ją siać bądź to wprost drylem na powierzchni uprawnej, a po tym utrzymywać czysto do chwili zwarcia się poszczególnych roślin, bądź też wysiać najpierw na grządce, po czym przesadzić rozsadę na powierzchnię uprawną. Pora wysiewu — kwiecień; 400 g nasienia wysianego na grządce da około 20 tys. rozsad, potrzebnych do obsadzenia 1 ha. Rozsadę wysadzać w maju — czerwcu, gdy ma już około 20 cm wysokości, po deszczu.

Łubin wieczny jest jedną z tych roślin, które mamy do dyspozycji przy stwarzaniu, w najbardziej nawet niekorzystnych warunkach glebowych, idealnego ukrycia dla zwierzyny, oraz częściowo — dostarczenia jej paszy. Co do tego ostatniego zdania poszczególnych fachowców są podzielone, jedni bowiem twierdzą, że wieczny łubin jest chętnie przez zwierzynę jedzony, inni natomiast utrzymują, że nawet w ciężkie zimy zwierzyna go nie tyka; prawda zapewne leży pośrodku. Nie da się jednak zaprzeczyć, że roślina ta oddaje nam ogromne usługi, udając się na każdych glebach, nawet na żwirowiskach i suchych piaskach, byle by znalazła w nich dostateczną ilość potasu i fosforu i byle by poziom wody zaskórnej nie był za wysoki. W zależności od okolicy, od gleby, klimatu, przebiegu pogody itp. naturalna gorycz tej rośliny bywa większą lub mniejszą, to też raz spotykamy się ze zjawiskiem chętnego skubania tej rośliny przez zwierzynę, to znów zupełnym nią pogardzaniem. W każdym razie wszędzie tam, gdzie z jakichkolwiek powodów nie możemy sobie pozwolić na założenie corocznie uprawianych pólek łowieckich, obsianie ich zimotrwałym łubinem odda nam duże przysługi. Można go też użyć z powodzeniem do obsiewu wszelkich nieużytków, jak np. zapuszczonych kopalni żwiru, czy piasku, na odkosy rowów, dróg, szos itd., najlepiej w pomieszaniu z żarnowcem; a i wewnątrz starszych drzewostanów, pozbawionych liściastego podszycia, winien znaleść szersze niż dotąd zastosowanie. Natura sieje wieczny łubin w drugiej połowie sierpnia, kiedy dojrzewające strąki pękają z trzaskiem w słońcu, wyrzucając ziarenka daleko dookoła.

Chcąc siać go wiosną najlepiej jest przechować go przez zimę w strąkach, a do siewu przystąpić bardzo wcześnie w marcu, dopóki w glebie jest jeszcze zasób wilgoci. Siać można łubin zarówno siewem pełnym ręką (np. bez przygotowania gleby, w starszym drzewostanie podrosłym czarną jagodą) wówczas 15 kg ziarna wystarczą na 1 ha, jako też siewem częściowym, utykając po 3 ziarnka razem w więźbie 50 × 50 cm, np. na odkosach rowów, na stromych zboczach itp.

Żywokost bywa gorąco polecany, jako wspaniałe schronienie dla zwierzyny, jest bez znaczenia jednak, jeżeli chodzi o wartość jako pasza. Wymagania jego są dość znaczne, udaje się bowiem dobrze dopiero na lepszych i wilgotniejszych glebach, na gorszych wymaga doprowadzenia dużych ilości sztucznych składników mineralnych i uprawy takiej, jak pod kartofle. Sadzi się go wiosną z odcinków korzeni, umieszczonych w więźbie 30 × 30 do 1 × 1. Plantacja tej rośliny może trwać 20 lat, dostarczając, począwszy od trzeciego roku 5 — 6 pokosów bezbiałkowej paszy, zdatnej tylko dla nierogacizny.

Topinambur jest pokrewnym gatunkiem słonecznika, wytwarzającym bulwiaste korzenie oraz zieloną masę nadziemną, — obie cenione bardzo przez zwierzynę. Wzrost jego dochodzi do wysokości 2 m, zbiór bulw do 150 — 200 q z 1 ha. Udaje się na wszystkich gruntach, byle by nie były zbyt wilgotne; bywa chętnie przez hodowców sadzony w rewirach, na skrajach pól, łąk i stawów, wreszcie i na pólkach łowieckich. Porą sadzenia bywa najczęściej wiosna, ale wobec dużej odporności bulw na zmarznięcie można go z powodzeniem sadzić jesienią, lub nawet zimą, gdy ziemia nie zmarznięta. Sadzi się go pod skibę pługa w więźbie 50 × 50 cm, zużywając do tego celu 10 — 15 q korzeni na 1 ha. Rozróżniamy 2 gatunki tej rośliny: Heliantus tuberosus, oraz H. macrophyllus; pierwszy ma bulwy owalne, jajowate, nadające się do spożycia przez ludzi, o słodkawym smaku; drugi ma bulwy znacznie bardziej wydłużone, mniejsze ogólne wymagania życiowe od poprzedniego, udając się całkiem dobrze nawet w cieniu drzew. Paroletnie, dobrze prosperujące kultury tej rośliny możemy jesienią i dalej w ciągu zimy, o ile temperatura na to pozwoli, stopniowo zaorywać; wyrzucone na wierzch bulwy stanowią prawdziwy przysmak zwierzyny, a zwłaszcza sarny tak są na nie łakome, że całymi dniami stoją na tego rodzaju odsłoniętych partiach, grzebiąc ziemię raciczkami. Prosty ten sposób ułatwia nam znakomicie podkarmianie naszej zwierzyny w okresie przejściowym przed nadejściem zimy, a można go też stosować i wczesną wiosną. Zielone łodygi, koszone w czerwcu i lipcu, dostarczają wspaniałego materiału do sporządzenia liściarki, która jest ulubioną karmą zwierzyny w ciągu zimy. Kto nie miał dotąd do czynienia z tą szlachetną rośliną, niech sprobuje wprowadzić ją do swojego łowiska, a z pewnością zbierze jak najlepsze doświadczenia; o każdej porze roku spotka w zasięgu tej uprawy sarny i jelenie, kręcące się w poszukiwaniu chłodnego i bezpiecznego cienia w skwarne letnie popołudnia, lub grzebiące za bulwami, jak również zające i króliki, mające tu swą dzienną ostoję, wreszcie począwszy od jesieni w bulwach koncentrować się będą wszystkie z bliskiej okolicy bażanty.

Artykuł nasz o pólkach łowieckich byłby niezupełny, gdybyśmy tu nie podali kilku przykładów gospodarowania na nich. Oczywiście, dla praktycznego myśliwego, będą one miały jedynie orientacyjne znaczenie, gdyż w każdym wypadku potrzeby rewiru, środki dyspozycyjne i możliwości glebowe będą wymagały nieraz czego innego.

Oto kilka przykładów płodozmianu:

1) I rok. Mieszanka: owies, łubin słodki i dodatek bobiku, tatarki i słonecznika. Sprzęt lub przyoranie, a pod koniec sierpnia — września siew świętojańskiego żyta.

II rok. Wsiewka 40 — 48 kg seradeli, lub 30 kg seradeli i 50 kg słodkiego łubinu; zabronować.

III rok. Kwiecień. Siew mieszanki: rzepa ścierniskowa 2,5 — 3 kg, 0,5 kg kapusty pastewnej, dodatek nieco owsa, lub łubinu. Mieszankę tę można siać razem.

2) I rok. Wiosna. Mieszanka jak wyżej: po przeoraniu, około 15 sierpnia siew zimowej mieszanki: 80 kg świętojańskiego żyta i 24 kg wyki Vicia villosa.

II rok. Sprzęt w początkach maja mieszanki na siano, a po dobrym zdrapaniu rżyska — wsiewka seradeli z domieszką łubinu.

III rok. Wiosna. Kapusta pastewna, rzepa i łubin (jak wyżej).

3) I rok. Wiosna. Mieszanka letnia na siano, jesienią żyto świętojańskie.

II rok. Żyto zebrane na ziarno, wsiewka dobranego poplonu, pozostawionego na zimę.

III rok. Wiosna. Rzepa, kapusta, owies.

Jak widać powtarzają się stale te same rośliny, jedynie kolejność ich po sobie, lub pora siewu bywa zmieniona. W praktyce możemy sobie mieszanki jeszcze bardziej urozmaicać, pamiętając o tym, że biorąc pod uwagę całość 3-letniego zmianowania, zwierzyna powinna mieć przez cały rok, a w każdym razie wiosną, latem i jesienią coś do jedzenia na pólku. Najlepiej postąpimy, dzieląc pólko o przestrzeni np. 0,25 ha i wymiarach np. 40 × 62,5 na 4 równe pasy o szerokości 10 m. każdy; jeden z nich, najlepiej ten od zachodniej strony, przeznaczymy pod jedną z zimotrwałych roślin np. pod topinambur, lub wieczny łubin. Można też, przy większych zwłaszcza poletkach, dać parometrowy pas topinamburu dokoła całej uprawy; w odkrytym terenie, np. na zrębach i kulturach, w pobliżu dróg itp. osłonimy zwierzynę doskonale tym murem zieleni. Na pozostałych pasach gospodarujemy w ten sposób, że jednemu z nich odpowiadają rośliny I-go roku wybranego płodozmianu, następnemu II-go roku itd. W następnym sezonie zeszłoroczne plony i pasza I-go przejdą na pas II-gi itd. Ten system, zastosowany na wszystkich pólkach danego rewiru, upraszcza niesłychanie ich uprawę i sprzęt, obliczenie potrzebnego nasienia, a w szczególności ułatwia orientację personelu, który ma sobie powierzone terminowe wykonanie robót.

Na pólka przejściowe, a więc z reguły gorzej uprawione, polecić można jedynie żyto świętojańskie, łubin, seradelę, tatarkę, oraz domieszkę słonecznika; tu, zamiast stałego płodozmianu, regułą będzie dorywczy siew jednej z tych roślin w zależności od pory roku, gleby i potrzeb zwierzyny.

Wspomniałem poprzednio o e s t e t y c e n a p ó l k u ł o w i e c k i m; teraz na zakończenie wypada mi temat ten choć pokrótce omówić. Nie ma chyba potrzeby przekonywać o celowości zamierzonego przez nas ozdobienia tego wybranego wśród lasu zakątka, każdy bowiem leśnik, myśliwy i hodowca celowość tę uzna bez zastrzeżeń. Tu przecież schodzić się będzie zwierzyna z najbliższego rejonu, tutaj i my zaglądać często będziemy dla jej znalezienia — tu bowiem o każdej porze roku mamy najlepszą sposobność obcowania z nią zbliska, oceny jej liczebności, stanu i jakości, poznania jej zachowania i zwyczajów. Tu niejednokrotnie spędzimy na obserwacji długie, a niezapomniane godziny, kiedy ze sztucerem opartym o pień drzewa, a z lornetką w ręku, mając w jej polu widzenia przyszłościowego pięknego 12-ka, lub kapitalnego kozła, zapominamy całkowicie o wrodzonych nam krwiożerczych instynktach, a całą istotą wchłaniać będziemy otaczające nas piękno, czerpiąc zeń radość życia i zachętę do dalszych starań i zachodów. Trzeba dopomóc naturze, trzeba wprowadzić na to uprzywilejowane miejsce jakąś jedną i drugą ozdobę, jakąś tę czy inną niecodzienną w tym otoczeniu roślinę, krzew, czy drzewo, a wkrótce się przekonamy, wiele radości sami z niej czerpać będziemy. Już krzew zwykłego żarnowca na jednym skraju uprawy, płomieniem swych kwiatów rozjaśni nasz zakątek, a posadzona obok kępa niebieskiego wiecznego łubinu i krzak dzikiej róży dopełni malowniczości. Gdzie gleba jest świeża, tam kalina lub dziki bez udadzą się dobrze: wpośród ich gęstych gałązek ptaki znajdą dogodne na budowę gniazda warunki, a pszczoła zwabiona białymi baldachami kwiatów napełni okolicę swym radosnym brzękiem. Jaśmin, śniegułeczka, akacja, jarzębina, wreszcie skromny jałowiec — oto dalsze krzewy i drzewa, które mamy do dyspozycji; dąb czerwony i kasztan zasługują tu na specjalną uwagę wobec zalety, że prócz malowniczego listowia, czy kwiatu, drzewa te dostarczą również smacznych i zdrowych owoców. Nie szczędźmy trudu, dołóżmy dziś trochę starań, a za to przez długie lata potem pólka nasze stanowić będą prawdziwą radość i dumę gospodarza-myśliwego, a trwałą ozdobę umiłowanego przez nas, leśnego rewiru.

L. Broel Plater.

JAN DONIMIRSKI.

NOWOROCZNE REFLEKSJE

Koniec roku kalendarzowego i z nim dobiegający sezon łowiecki usposabia do spojrzenia wstecz i zreasumowania osiągnięć i braków w naszej gospodarce łowieckiej. Spojrzenie to jest jakby rachunkiem sumienia, dokonywanym ze sobą samym, a zatem i najcięższe grzechy myśliwskie, ukrywane starannie przed uchem i okiem kolegów, nie mogą być pominięte. Ale odsuńmy narazie wyrzuty sumienia i aby otrzymać na końcu absolucję Św. Huberta wspomnijmy najpierw osiągnięte sukcesy.

Czytając w „Łowcu" sprawozdania z posiedzeń Rady Naczelnej oraz protokóły Walnych Zgromadzeń Pol. Zw. Łow. widzimy z radością, że nie tylko dawni, wypróbowani nestorzy łowiectwa współpracują dalej w naszej organizacji, lecz że szeregi ich zostały powiększone nowymi siłami, które nie szczędzą czasu i zabiegów, aby Pol. Zw. Łow. postawić w rzędzie organizacji poważnych i pożytecznych dla kraju.

Niewątpliwym sukcesem Związku jest częściowe uregulowanie sprawy udzielania pozwoleń na broń myśliwską oraz umożliwienie kupna jej w spółdzielniach „Jedność Łowiecka". Również w dziedzinie naboi doczekaliśmy się prawie normalnych stosunków. Nie są one jeszcze takie w gatunku, jakie być powinny i znikają raz poraz w chwilach największego zapotrzebowania, jednak że są znowu polskie naboje, to już bardzo wiele.

„Łowiec Polski", nasz najmilszy miesięcznik, nadchodzi regularnie, choć niestety z dużym opóźnieniem. Mamy jednak nadzieję. że i temu się z czasem zara-

dzi i że anons np. o sprzedaży wyżła, dotrze do wiadomości ogółu zanim pies się zestarzeje. Kontakt pomiędzy pismem a czytelnikiem będzie wtedy o wiele ściślejszy i obu stronom przyniesie duże korzyści.

Jeśli już o kontakcie mowa, to nie można pominąć momentu, w którym brak jego poważnie odczuwamy. Mam tu na myśli działalność urzędu Łowczego Wojewódzkiego. Przez cały rok jeden lub dwa małoważne i przeważnie spóźnione komunikaty i jedno Walne Zebranie delegatów, to naprawdę za mało, jak na tak ważne ogniwo, łączące górę z dołem. A ponadto sprawność w załatwianiu bieżących spraw przypomina od dawna bajkę o śpiącej królewnie, z której pamiętamy dobrze, że ziewanie łatwo udziela się dalszemu otoczeniu.

No, ale teraz na własne podwórko. Usposobiwszy dodatnio patrona łowiectwa, podejdźmy śmiało do konfesjonału, w którym Św. Hubert już groźnie stułą wywija. Wzrok jego przenikliwy i wszystkowidzący, żadne wykręty na nic się nie zdadzą. Z miejsca też pytać zaczyna: „— Coś robił, bracie, z rogaczami? — Miałeś w rewirze twoim ładne stadko sarn, ocalałe szczęśliwie z zawieruchy wojennej. — Były przy nim dwa rogacze. — Dziś niema żadnego". Przerażony piorunującym wzrokiem penitencjarza, przenikającym przez kratkę, bąkasz nieśmiało o złym sąsiedzie. — „Nie łżyj — mówi Święty — lepszego zabiłeś zaraz w pierwszym dniu otwarcia polowania, a drugiego, tego młodego widłaka, strzeliłeś śrutem, polując na kuropatwy. — Jest teraz u mnie w niebie i pokazywał mi swój, przez Ciebie rozwalony pośladek. — Zdechł po trzech dniach w pyrkach sąsiada. — Nawet go nie zjadłeś, boś o tem nie wiedział. — Za karę kozy twoje przez dwa lata będą chodziły jałowe, bo więcej rogaczy w Waszej okolicy nie było, a sztucznego zapładniania my w niebie uznać nie możemy!"—

Bijąc się w piersi przyjmujesz wyrok, lecz głos Świętego brzmi nieubłaganie. — „Pamiętasz tego jelenia, na którego czatowałeś kilka nocy z rzędu na granicy państwowego lasu? — Nie? — No to Ci o nim przypomnę. — Był to jedyny łowny jeleń w całym kompleksie leśnym. — Leśniczy strzegł go, jak własnej urodziwej żony. — Ale przyszła noc, jasna, księżycowa, w której jeleń przemógłszy wrodzoną ostrożność, wyszedł na Twoje pole posmakować dojrzewającego owsa. — Nie miałeś wtedy pozwolenia na broń, nie byłeś jeszcze nawet członkiem mojego Związku. — Pożyczyłeś strzelby od miejscowego kłusownika, wykopałeś spory dołek niedaleko lasu i z siekańcami w zardzewiałej lufie czychałeś na byka. — Wyrżnąłeś z Twej krócicy w chwili, kiedy jeleń na odległość 70 metrów stanął przed Tobą w blasku księżycowej poświaty. — Był czas ochronny i jedynie chęć zemsty za zniszczoną garść owsa kierowała Twą dłonią. — Jeleń uszedł i nie powrócił więcej. — Przez dwa miesiące błądził po kniei, farbując posoką żółkniejące liście dębiny. — Wreszcie dobił go leśniczy, stwierdziwszy gnijącą ranę w okolicy nerek. — Pozostały z niego tylko skóra i wieniec. — Czy żałujesz tej zbrodni?"—

Głuchy łomot pięścią w pierś penitenta, świadczy o skrusze i chęci poprawy. Ale rozmach Świętego, jak lawina górska, nie ustaje w dociekliwych a twardych pytaniach. — „A jak tam u Ciebie z drobną zwierzyną? — Ochraniasz? Dokarmiasz? Drapieżniki tępisz?" — Czując zrzucone brzemię grzechów śmiertelnych, prostujesz swą zgiętą w pokorze postać i ufniej spoglądasz w kratkę. — „Święty Patronie — powiadasz — z tem u mnie wszystko w porządku." — „W porządku mówisz? — no, a zające w kotlinie strzelałeś? A kuropatwom plew nie sypałeś jesienią koło stodoły,aby potem dostać pięć od jednego strzału? — A wieczorem kto łaził do lasku strzelać bażanty na drzewie? — Myślisz, że o tem nie wiem?"—

„Święty Patronie — mówisz z czystym sumieniem,— czasy są ciężkie, naboje drogie, a na czym dzierżawę łowiska odbiję?" — „Tak — no to pilnuj, aby i Ciebie ktoś kiedyś nie zarżnął w łóżku. — No, a jak tam w Polsce teraz z hodowlą? — Jak tam działają Wasze Koła Łowieckie? — Byłem u Was niedawno w dniu moich imienin. — Myślałem, że, jak dawniej, ktoś na moją intencję mszyczkę odprawi. I jak mnie przyjęto? — W lasku, w którym schodząc z nieba, wylądowałem, opadły mnie sroki w takiej ilości, jakiej nie pamiętam przed wojną w najbardziej zaniedbanych rewirach. — Sądziłem z początku, że to nowa krzyżówka bażantów, wyhodowana u Was podczas okupacji, pod znakiem pruskiego rasizmu. — Buchały na mnie, jak na puchacza i jedynie sękaczowi, zabranemu dla rozgarniania chmur, zawdzięczam, żem wyszedł z opresji z całymi oczami. — Błądząc po kniei, widziałem rozwalone paśniki dla sarn i jeleni, stare dziurawe budki dla bażantów, w których zalęgły się myszy i cuchnie z daleka zbutwiałą słomą. — Kiedym szedł przez pole, trzy wielkie kundysy puściły się za mną, a że uchodząc wlazłem we wnyk, z którego wyplątać się nie mogłem, poszarpały mi habit i pogryzły łydki, że ledwom się dowlókł do najbliższej gospody. — Pito tam silnie — szesnastu myśliwych trzynastą kolejką Złotej Wiśniówki oblewało właśnie śmierć ostatnich dziesięciu zajęcy ubitych w tej okolicy, nadużywając często mego imienia. — Czy tak ma być dalej? — Czy myślicie, że to zawsze tak będzie, że ja będę siał, a Wy będziecie sprzątać?" —

— „To już, Święty Patronie, nie moja dziedzina. Na to są u nas Rady Łowieckie, Łowczy, Nadlowczy, niech oni radzą, na tośmy ich przecież wybrali. Ja robię co mogę, oddając co roku mój głos przy wyborach. Poco się męczyć samemu. Porobili związki, sekcje, protekcje, są tam doktory i profesory, niech oni radzą."—

Tego Świętemu już było za wiele, wyrżnął penitenta stułą przez ucho i nie dawszy rozgrzeszenia wygnał z konfensjonału.

Tak by to u nas wyglądało w satyrze. A w rzeczywistości? — Nie wielka różnica. Przyznajmy przynajmniej przy końcu sezonu, żeśmy znów z rewiru szeroką reką wybrali, nic mu w zamian nie dając. A przecież rybak co roku zarybia swe stawy i rolnik użyźnia swą glebę.

Ciężkie czasy? — Właśnie dlatego nie mamy prawa pozbawiać Państwa tych wielkich zasobów żywności, jakie daje zwierzyna. Może wśród licznych Ośrodków Kultury dało by się stworzyć choć kilka ośrodków hodowli zwierzyny? — Pokryłyby one w przyszłości zapotrzebowanie naszych jałowych rewirów i wychowały młode pokolenie hodowców. — Warto nad tym pomyśleć na przełomie roku.

Jan Donimirski.

Pępowo, w styczniu 1948.

STANISŁAW CENKIER.

ŻUBRY W LASACH PSZCZYŃSKICH

Pierwszą próbę osiedlenia żubrów na Górnym Śląsku dokonano w 1865 roku, sprowadzając 1 byka i 3 krowy w wieku 2—3 lat z Puszczy Białowieskiej w drodze zamiany na 20 sztuk jeleni, w tym 5 byków i 15 łań. Żubry umieszczono w leśnictwie Wygorzele, gdzie ogrodzono dla nich 50 ha lasu, ale w 1875 roku przeniesiono je do osobnego rezerwatu w Nadleśnictwie Pszczyna o obszarze również 50 ha.

W 1883 roku dołączono do tego stada, celem od-



świeżenia krwi, półtorarocznego byczka czystej krwi białowieskiej z Ogrodu Zooologicznego w Berlinie, a w 1893 roku sprowadzono z Puszczy Białowieskiej dalszą partię żubrów w postaci 5 krów w wieku od 4 do 10 lat, również w drodze wymiany na jelenie. Równocześnie z tym połączono rezerwat z ogólnym zwierzyńcem pszczyńskim, przez co umożliwiono żubrom swobodę ruchu na obszarze ok. 11 tys. ha.

Okoliczność ta zapoczątkowuje nowy okres w hodowli żubrów, dając im możność bytowania w warunkach niemal zupełnie pierwotnych. Toteż rozmnoża żubrów wzmaga się szybko, osiągając w okresie następnych 28 lat 176 sztuk przy ubytku normalnym (wskutek chorób i wypadków) 32 sztuk. Niestety, pod koniec okresu (rok 1919—21) dezorganizacja powojenna w pobitych Niemczech, a następnie trzy powstania śląskie powodują wyniszczenie zwierzyńca pszczyńskiego, co sprawia, że nowoutworzonym w roku 1922 władzom polskim udaje się uratować od zagłady tylko trzy żubry (w tym 2 byki) dwuletniego „Platona" i 10-letniego „Plebejera" i jedną 19 letnią krowę „Plantę".

Od tegoż 1922 roku rozpoczyna się nowy, trzeci okres hodowli żubrów na Śląsku, prowadzonej już przez władze polskie. Żubry zostały otoczone specjalną opieką, konieczną zwłaszcza z tego powodu, że postanowiono trzymać je nadal na całym obszarze zwierzyńca, t. j. 11 tys. ha. Dziewiętnastoletnia „Planta" okazała się niespodziewanie płodna. W 1923 roku urodziła ona byczka „Płundera", w 1924 żubrzyczkę „Plakietę", wreszcie w 1926 roku drugiego byczka „Platona". Zalety matki odziedziczyła w pełni „Plakieta", wydając już w 1928 roku pierwszego potomka, zaś do 1943 roku, czyli w okresie 16 lat — ogółem 15 sztuk potomstwa.

Wybuch wojny w 1939 roku nie sprowadził początkowo zmian w stanie stada żubrzego, liczącego ponad 40 sztuk, gdyż ustępujące władze polskie zażądały od niemieckiego dowództwa otoczenia zwierzyńca opieką, co istotnie nastąpiło. W okresie jednak okupacji 9 żubrów wywieziono z Pszczyny do Niemiec, zaś po załamaniu się frontu wschodniego z 32 pozostałych żubrów padło ofiarą bezprawia 15 sztuk. Aby uchronić pozostałą resztę żubrów zamknięto ją na ogrodzonej powierzchni 3 ha i ustawiono osobny posterunek wojskowy. Ale już na wiosnę 1946 roku rozszerzono rezerwat do 38 ha lasu, całkowicie ogrodzonych.

Poniżej przytoczone zestawienie obrazuje zmiany w ilostanie żubrów pszczyńskich w czasie od 1865 do 1946 r.:

	1865—93		1894—21		1022—46		Ogólem	
	b.	kr.	b.	kr.	b.	kr.	b.	kr.
Stan początkowy	—	—	5	12	2	3	—	—
Sprowadzono	2	8	3	—	1	—	6	8
Urodziło się	19	18	79	97	33	28	131	143
Oddano do innych ośrodków	1	—	1	2	11	—	13	2
Odstrzelono	9	2	38	31	2	1	49	34
Zabodło się wzajemnie w walkach	2	—	16	3	—	—	18	3
Ubytek przez choroby i wypadki	3	12	12	20	9	5	24	37
Zabito przez kłusowników	—	—	18	55	6	9	24	64
Stan końcowy	5	12	2	1	9	11	—	—

Według wyżej podanego zestawienia wynosił stan ilościowy żubrów pszczyńskich w dniu 31.XII. 1946 r. 20 sztuk.

w tym	żubrów byków	żubrzyc
w wieku od 6 do 14 lat	—	7
w wieku od 2 do 6 lat	8	2
poniżej 1 roku	1	2
razem dnia 31.XII. 1946 roku	9	11
przychówek w 1947 r.	2	3
razem	11	14
oddano w 1947 r. do Smardzewic	2	—
oddano w 1947 r. do Białowieży	1	3
padło wskutek choroby	1	—
Stan w listopadzie 1947 r.	7	11

Obecny rezerwat żubrów jest położony w lasach państwowych nadleśnictwa Pszczyna w leśnictwie Jankowice, w starodrzewiu sosnowo - świerkowym, z pojedyńczymi dębami i bukami, oraz z silnym podszyciem świerkowym. Pomimo ograniczonej powierzchni jest teren przeplatany łąkami, jako ulubionym żerowiskim żubrów, które przerzyna strumyk „Korzeniec".

Rezerwat jest stale ochraniany przez uzbrojoną straż, zaś żubrom zadawana jest dwa razy dziennie karma, składająca się z buraków, ziemniaków, wytło-

ków i żołędzi. Ponadto w dowolnej ilości mają żubry siano, liściarkę i gałęzie drzew liściastych.

Przechodząc do charakterystyki bytowania żubrów, ograniczę się do spostrzeżeń, zaobserwowanych w okresie przebywania ich na całym obszarze zwierzyńca, t. j. na 11 tys. ha, jako najbardziej zbliżonego do warunków pierwotnych. Jeżeli zimą trzymały się żubry w pobliżu paśnika, to z nastaniem wiosny rozpraszały się po całym obszarze, tworząc osobne stada, i żywiły się prawie wyłącznie własnym przemysłem. Ciekawszym zjawiskiem było obserwowanie na jesieni, jak żubry na poletku łowieckim strącały rogami owoce z dzikich grusz. Przyczyniało się to usamodzielnienie do utrzymania w żubrach znamion dzikiego zwierza i do rozmnoży w warunkach bardziej normalnych, niż w małych ogrodzonych rezerwatach, gdzie zapłodnienie odbywało się często w okresach niewłaściwych, powodując poród w zimie.

Żubrzyce rodziły zazwyczaj w odstępach 1—2 lat, a małe korzystały z pokarmu matki często przez całe dwa lata. Po wydaniu potomstwa w ścisłym odosobnieniu, matka przyłączała się do stada dopiero wtedy, kiedy małe żubrzątko zdolne już było biec. W okresie prowadzenia małego żubrzyca stawała się często niebezpieczna zarówno dla innych żubrów, jak i dla ludzi. W okresie letniej samodzielności żubry tak odzwyczajały się od ludzi, że przy spotkaniu z nimi całe stado umykało w głąb lasu. Ale z nastaniem zimy, kiedy w poszukiwaniu karmy żubry wracały do paśników, oswajały się one szybko z ludźmi i wkrótce ignorowały zupełnie ich obecność. Pomimo to, były



wypadki atakowania przez żubra ludzi, i raz, przy zderzeniu z pojazdem, żubr zabódł konia. Natomiast z jeleniami, danielami i sarnami żubry żyją w zupełnej zgodzie, czego nie można powiedzieć o dzikach, które swym zachowaniem się prowokują często żubrzyce, prowadzące młode, do ataku.



Normalnie żubrzyce rodzą po jednym młodym. Raz tylko, mianowicie we wrześniu 1945, żubrzyca „Planaria" porodziła bliźnięta, które jednak, acz zupełnie wykształcone, przyszły na świat martwe. Wyjątkowe te okazy umieszczono w spirytusie w Muzeum Śląskiem w Bytomiu.

Tamże umieszczono trójkę weteranów z 1922 roku, mianowicie żubrzycę „Plantę", oraz byki: „Platona" i „Plebejera", które, po odstrzeleniu w 1931 r. z powodu zniedołężnienia, wypchano w całości. Podczas zawieruchy 1945 r. „Plebejer" został z Muzeum zabrany przez Niemców i dotąd odnaleziony nie jest.

Żubry pszczyńskie były za czasów niemieckich przedmiotem polowań reprezentacyjnych. Pierwszego żubra odstrzelił w 1869 r. cesarz Wilhelm I, następnych odstrzałów dokonali z pomiędzy panujących: Fryderyk III—1 sztuka, Wilhelm II—6 sztuk, Ferdynand Bułgarski—2 sztuki, austryjacki następca tronu Ferdynand—1 sztukę itd. Waga żubra byka niewypatroszonego sięga 770—809 kg., zaś dokonane pomiary tuszy wykazały: długość byka—2,80 metra, wysokość do 2 metrów.

St. Cenkier.
Łowczy Dyrekcji Lasów Państwowych w Bytomiu.

LEOPOLD PAC-POMARNACKI.

O przyszłość zwierzyny płowej w woj. Kieleckim

Stan zwierzyny płowej przed ostatnią wojną osiągnął chyba pełnię swego rozwoju. Jak Polska długa i szeroka — sarna zaliczała się w lasach do zwierząt bardzo pospolitych, a jelenie nie tylko powiększały swe pogłowie w stałych ostojach, lecz stopniowo rozszerzały swój zasięg i na inne łowiska, w których poprzednio od dawna już nie były obserwowane. Zwierzyna płowa, dzięki swej ilości, czyniła nawet szkody w uprawach rolnych i kulturach leśnych, pociągając za sobą zarządzenia odstrzału redukcyjnego już nie tylko samców, lecz nawet łań i kóz. Ale zarządzenia te nie dawały zazwyczaj pozytywnych wyników, bywały natomiast powodem szeregu nadużyć ze strony straży leśnej, która, pod pretekstem odstrzału selekcyjnego czy redukcyjnego, wybijała to, co jej wlaziło pod lufę.

Jeżeli chodzi o sarny — Kielecczyzna zajmowała niepoślednie miejsce nie tylko co do ilości zwierzyny, ale i jakości poroża. Można było nawet wyodrębnić kilka typów charakterystycznych dla rogaczy tutejszego regionu.

Kozły z pasma Gór Śto-Krzyskich osadzały parostki ciemno zabarwione, wysokie, grube, o dużych różach i mocnym uperleniu. Specjalnie piękne rogacze miały n-ctwa państwowe Łagów i Św. Katarzyna. Tusza tych sztuk nie była natomiast zbyt duża i znacznie ustępowała innym okolicom. Rogacz tutejszy ważył przeciętnie po wytrzebieniu 25—28 kg.

Typem kozła z Puszczy Kozienickiej były sztuki mocne, mięsiste, o wadze do 35 kg. i parostkach wysokich, ale cienkich, choć dobrze uperlonych, barwy jaśniejszej, światło-szarej.

Powiat jędrzejowski dawał rogacze o średniej tuszy i miernym urożeniu, choć barwą przewyższające kozły kozienickie. Uperlenie naogół dobre, przy mniej rozwiniętych różach.

Inne okolice posiadały okazy o cechach pośrednich, nie dających specjalnie się wyodrębnić.

Opisując powyższe typy, muszę zaznaczyć, że — jak zresztą wszędzie — zdarzały się różne wyjątki i wśród parostków każdej z wymienionych grup, jednak były to tylko wypadki sporadyczne, możliwe nawet, że stanowiły je sztuki przybyłe z innych okolic, wyodrębniające się jaskrawo spośród pozostałych, noszących cechy wspólne dla okazów danej okolicy.

Jak już wspomniałem — sarn było dużo. Spotkanie 4—5 rogaczy w czasie rannego podjazdu nie należało do rzadkości, a miałem wypadek, gdy w ciągu jednego poranku widziałem 12 kozłów (Miodne w N-ctwie Garbatka).

Ostatnia wojna przeniosła taką rzeczywistość do dalekiej przeszłości. Zniszczenie drzewostanów, długie postoje mas wojska w lasach oraz rozpasane kłusownictwo — zredukowały tak bardzo świetny dawniej stan płowej zwierzyny, że tu, w Kieleckim właśnie jest ona pod całkowitą ochroną. Na tych terenach nie ma już mowy o odstrzale redukcyjnym, nie ma nawet mowy w najbliższych latach o polowaniu na rogacze. Rozmawiałem z kilkoma dawnymi hodowcami-myśliwymi. „Sarna — Panie — to jeszcze, jeszcze, ale z jeleniami — koniec! — powiadają".

Gdy się uważnie bada zwierzostan większych tutejszych przestrzeni leśnych, to stwierdzić trzeba z radością, że sarny jakoś przetrwały najgorsze dla nich dnie i spotykają się niemal wszędzie. Jest ich mało, bardzo mało — stadkami po 2—3 sztuki, nawet pojedyńczo, ale są!

To jest najważniejsze!

Bo przecież warunki biologiczne nie zmieniły się, a raczej poprawiły. Zasobność łowisk w paszę pozostała i nadal ta sama, natomiast zmniejszył się zwierzostan i przez to ilość karmy, przypadającej na jedną sztukę, wzrosła kilkakrotnie. Ponadto, duże obszary wyciętego starodrzewia, ubogiego dawniej w bogatsze runo leśne, czy podszycie — ustąpiły miejsca młodnikom, bardziej obfitującym w trawę czy krzewy. A jednocześnie młodniki takie dostarczają odpowiednich miejsc na zaciszną i bezpieczną ostoję zwierzyny, która w rzadkim, starym lesie nie łatwo znajduje spokój oraz schronienie przed okiem swych prześladowców.

Od czego więc zależy poprawa w stanie sarn i jeleni? Przede wszystkim od wytępienia kłusownictwa i od spokoju w łowisku.

Rozpędzona działaniami wojennymi zwierzyna — teraz gdy ustały nadmierne trzebieże i bezustanne defraudacje leśne, czyniące ustawiczny hałas w kniei, — zaczyna ściągać ponownie z okolicy do swych dawnych ostoi. Już mamy jelenie w kilku większych kompleksach leśnych, będących od lat ich ulubioną knieją, jak Magnuszew, Kozienice, powracają i sarny nawet na tereny „Przyczółka Wiślanego", gdzie jest dziś więcej schronów i bunkrów, niż drzew...

Tym „pionierom" płowej zwierzyny należy się specjalna opieka, a właściwie nie tyle im, co terenom przez nich zamieszkałym. Gdzie są duże przestrzenie kultur i drągowin, które nie wymagają na razie ręki człowieka — można z powodzeniem zapewnić zwierzynie konieczny dla jej rozmnoży spokój, zakazując w tych miejscach wypasu bydła, czy grabienia ściółki, której zazwyczaj tam nawet nie ma. Nic bowiem tak nie płoszy zwierza, jak bezustanny ruch ludzi, kręcących się po lesie o każdej porze dnia i roku. A już szczęśliwie wyszliśmy z tego okresu i w kniei polskiej ponownie zapanowały normalne stosunki, można więc pomyśleć też o racjonalnej hodowli łowieckiej, która jest sprawą pilną i wymaga właściwego podejścia do całego zagadnienia, by nie zaprzepaścić tych resztek płowej zwierzyny, którymi jeszcze dziś dysponujemy.

Leśniczy, w którego l-ctwie występuje dotąd płowa zwierzyna, powinien być troskliwym i wnikliwym gospodarzem-hodowcą. Nie wystarczy stwierdzić po tropach na śniegu czy wilgotnej ziemi, że są sarny lub jelenie i stwierdziwszy — więcej się tym nie interesować. Trzeba starać się spotkać z nimi, policzyć i ustalić, co to są za osobniki. To ostatnie jest bardzo ważne, bo zdarza się często, że ocalałe sztuki są jednej płci. Niedawno doniesiono mi np., że w jednym



l-ctwie znajdują się dwie kozy, które widuje się już drugi rok bez potomstwa, bo w całym l-ctwie nie ma ani jednego kozła. O ile nie dostarczy się tam rogacza — ze śmiercią tych dwóch ostatnich sztuk, sarny wyginą całkowicie w tym obwodzie. A w innej znów kniei błąka się samotny kozioł.

Takich i tym podobnych wypadków jest po wojnie bardzo dużo. Nie zawsze kompleksy leśne łączą się ze sobą i uzupełnienie się płci może nastąpić drogą naturalną. Czasami bywają to wyspy, otoczone zewsząd rozległą przestrzenią pól, ograniczających możliwość wędrówek zwierzyny. Zresztą jak wiemy, zwierzę przywiązuje się do swej ostoi i nawet w razie łączenia się ze sobą lasów — osobnik taki niechętnie wydala się poza granice swego ulubionego rewiru.

Tu już musi nastąpić ingerencja człowieka.

Słyszy się często, że gdzieś, w sąsiedztwie, organy Milicji Obywatelskiej, czy straży leśnej odebrały od wieśniaków młodego jelonka, albo sarnę. Takimi właśnie okazami można ratować sytuację hodowlaną w poszczególnych łowiskach: tu dać siutę, tam rogacza i już sprawa będzie załatwiona, tylko potrzeba odrobiny dobrej chęci i zainteresowania zagadnieniami łowieckimi.

Stan płowej zwierzyny w woj. kieleckim jest słaby, ale nie katastrofalny. Rozdzierani_ szat byłoby przesadą. Gdy dołożymy wszyscy: Dyrekcja Lasów Państwowych, personel n-ctw i dzierżawcy-myśliwi trochę starania, za kilka lat sarny znacznie się rozmnożą, a i jelenie przestaną się zaliczać do rzadkości.

Nie wyrzekajmy i miejmy trochę cierpliwości — napewno będzie lepiej!

L. Pac-Pomarnacki.

WYCIĄG Z PROTOKÓŁÓW POSIEDZENIA KOMITETU WYKONAWCZEGO P. Z. Ł.

88 Posiedzenie w dniu 13 stycznia 1948 r.

P. 1. Postanowiono rozesłać do Wojewódzkich Rad Łowieckich okólnik do wszystkich członków Polskiego Związku Łowieckiego w sprawie zakazu strzelania do zwierzyny, wychodzącej bliżej niż 200 mtr. od lasu, w którym dany myśliwy nie ma prawa polowania, oraz w sprawie zakazu strzelania do zwierzyny płowej loftkami.

P. 2. Postanowiono zamieścić w Kalendarzu Myśliwskim na rok 1948 ogłoszenia „Łowca Polskiego" oraz szereg sloganów, które mają pouczać myśliwych o etycznym wykonywaniu praktyk łowieckich. Zredagowany w ostatecznej formie projekt ustawy łowieckiej postanowiono przesłać Ob. Ministrowi Leśnictwa.

P. 3. Postanowiono powołać Komisję do zbadania jakości i wartości ładunków do broni myśliwskiej, produkowanych przez Państwową Wytwórnię Prochu. Zadaniem Komisji będzie sporządzenie protokółu z wykrytych wad sprzedawanych naboi i przesłanie go do zainteresowanych instytucji.

P. 4. Postanowiono wystąpić do Ministerstwa Administracji Publicznej o zniesienie stosowanego ostatnio w niektórych miejscowościach podatku od broni myśliwskiej, w powołaniu się na orzeczenie Naj. Trybunału Adm. z 1930 r.

P. 6. Postanowiono oddać do druku nowy Statut Polskiego Związku Łowieckiego, który został ostatnio zatwierdzony przez Zarząd Miejski w m. st. Warszawie.

89 Posiedzenie w dniu 20 stycznia 1948 r.

Posiedzenie to zwołane zostało na skutek memoriału złożonego przez V.-Przewodniczącego Komitetu Wykonawczego, Z. Kowalskiego, na ręce Prezesa Gen. B. Szareckiego, w sprawie pogarszającego się stale stanu zwierzyny łownej w Polsce i powzięcia odpowiednich środków zaradczych w celu zwalczania kłusownictwa, oraz wniosku złożonego przez Kol. Prof. Gieysztora w sprawie wprowadzenia maksymalnych norm odstrzału zwierzyny na każdego myśliwego.

Dla dokładnego rozpatrzenia postulatów postawionych w złożonym memoriale Kol. Kowalskiego i wniosku Prof. Gieysztora wyłoniono Komisję w składzie: Kol. Kol. Z. Kowalskiego, K. Cybulskiego, K. Humińskiego, oraz 2 delegatów Ministerstwa Leśnictwa. Komitet Wykonawczy omówił ważniejsze z poruszanych postulatów. Zadaniem Komisji będzie opracowanie wniosków zmierzających do wzmożenia ochrony i hodowli zwierzyny łownej i innych, dla przedstawienia Naczelnej Radzie Łowieckiej do dyskusji i ewentualnej akceptacji.

ZAPOLSKI — DOWNAR HENRYK.

Z POLOWAŃ NA DZIKI

Pod wpływem kursujących wśród myśliwych Warszawy opowiadań o tysiącach dzików „zadziczających" lasy i niszczących uprawy rolne na Ziemiach Odzyskanych, wybrałem się tam na polowanie. Przyznaję jednak, że bardziej bezpośrednią pobudką była nie tyle chęć ratowania zagrożonych upraw rolnych, ile chęć zaspokojenia namiętności myśliwskiej.

Jechałem pociągiem całą noc i pół następnego dnia, marząc o triumfie, z jakim wrócę do Warszawy, gdy przywiozę upolowane dziki.

Po przyjeździe na miejsce wziąłem udział w polowaniu zorganizowanym w jednym z leśnictw, niczym przeciętnie nie różniącym się od innych.

Udaliśmy się do lasu w kilka strzelb, w asyście gajowych i psa-dzikarza, należącego do jednego z nich.

Rozstawiono myśliwych na stanowiskach. Po dłuższym oczekiwaniu ruszyła naganka w osobach pogwizdujących gajowych i milczącego psa. Z bijącym sercem usłyszałem zbliżającego się zwierza, przygotowałem się do strzału, a po chwili wypadł na mnie... pies. Niebawem wyszli też na linię myśliwych naganiacze — gajowi.

Z podobnym wynikiem kilku następnych miotów spędziliśmy dzień na spacerze po świeżym powietrzu i lesie, nie oddając, ażeby nie zakłócać zbytnio uroku ciszy leśnej, ani jednego strzału.

„Zachęcony" wynikiem polowania i zapewnieniem gajowych, że najwidoczniej dziki gdzieś powędrowały, zdecydowałem wracać do Warszawy.

Jechałem znów pociągiem popołudnie, noc i ranek. Rozmyślając nad przebiegiem polowania, uprzytomniłem sobie, że wszyscy gajowi byli uzbrojeni w dubeltówki, lub karabiny wojskowe, a na stanowiskach rozstawiali nas, określając miejsce nie inaczej, jak np.: „Wacek! postaw pana tam, gdzie Janek strzelał „kabana", albo „Wacek! postaw pana, gdzie Michał zabił „maciorę", albo „Janek! postaw pana, gdzie ja strzelałem do warchlaka" itp.

Teraz zrozumiałem dlaczego nie upolowaliśmy, a nawet nie strzeliliśmy do dzika: po pierwsze — dzików było bardzo mało, a po wtóre — gajowi nie byli skorzy do ofiarowania nam tych dzików, rezerwując je dla siebie.

Nie można temu się dziwić, ani też gajowych za to nadmiernie potępiać: gajowy, częstokroć obarczony rodziną, otrzymuje miesięcznie około trzech tysięcy złotych, plus nieduże przydziały umundurowania, mieszkanie z opałem, parę hektarów ziemi do uprawy. Ziemia ta, o ile gajowy nie posiada odpowiedniego inwentarza żywego i martwego, leży odłogiem i nie przedstawia dla niego żadnej wartości. Oczywiście za same trzy tysiące złotych gajowy z rodziną utrzymać się nie może. Sytuację ratują dziki — ażeby nie być głodnymi gajowi biją „dzikie kabany" w lesie, jak we własnym chlewie.

O czym powyżej opisane świadczy i jaki z niego należy wysnuć wniosek?

Przede wszystkim, mniemanie, jakoby na Ziemiach Odzyskanych miała być masa zwierzyny, jest już szkodliwym złudzeniem: tak było rok lub dwa lata temu, lecz nie jest obecnie. Powtóre, należy zaopiekować się położeniem materialnym gajowych, poprawić je, a równocześnie odebrać gajowym długą broń palną, ażeby uniemożliwić polowanie na własną rękę.

Jeżeli tego nie uczynimy nie zwlekając, będziemy musieli niedługo rozpoczynać hodowlę, zwłaszcza grubej zwierzyny, od podstaw, inaczej zwierzyna stanie się wspomnieniem przeszłości — mitem.

H. Zapolski-Downar.

J. T.

CZY TYLKO NIEMOC NAM POZOSTAJE

(Uwagi dyskusyjne).

Gdy biorę do ręki „Łowca Polskiego" czynię to wprawdzie z przyjemnością, ale i z pewną obawą, jakie też znowu zawiera on skargi na dalszy ubytek zwierzostanu i jak się ten ciężki i smutny okres skończy dla nas, bractwa Św. Huberta? Czyżby zagładą łowiectwa?



Sznurujący „mykita".

Z wyprawy filmowej do Białowieży

Czy jednak nie powinna być cechą każdego myśliwego nadzieja, czy nie powinniśmy wszelkimi siłami opierać się zwątpieniu w powodzenie naszych wysiłków na drodze uzdrowienia stosunków łowieckich?

Stosunki te, co prawda, nie są w tej chwili obiecujące. Jak to wynika ze sprawozdań podanych w Nr. 1 „Łowca" z roku 1947, pogłowie zwierzyny grubej znowu się zmniejszyło wydatnie, stan sarn jest katastrofalny, a zwierzyny drobnej bardzo słaby.

Sądzę atoli, że obecne położenie łowiectwa powinniśmy, podobnie jak zresztą wiele innych zjawisk społecznych i gospodarczych, oceniać z historycznego punktu widzenia. Historia zaś uczy nas, że wojny, przewroty społeczne i polityczne, powodujące głębokie wstrząsy w życiu gospodarczym, bardzo ujemnie odbijały się zawsze na stosunkach łowieckich, a przede wszystkim na zwierzostanie. Nie sięgając daleko wstecz w przeszłość, wystarczy wskazać na wpływ poprzedniej wojny światowej na stosunki łowieckie tak u nas, jak i gdzie indziej, by stwierdzić, iż tak samo obecnie, jak wówczas, nastąpił ogromny ubytek zwierzyny łownej i że stan ten trwał jeszcze dłuższy czas po zakończeniu wojny. Przyczyny tego upadku łowiectwa były takie same jak teraz (przemarsze wojsk, trudności aprowizacyjne, zdziczenie mas, w których hamulce moralne przestały działać itd.).

Równocześnie jednak należy sobie przypomnieć, że zdołaliśmy w t. zw. okresie międzywojennym wygoić śmiertelne, zdawało by się rany, zadane łowiectwu i stosunki łowieckie nie tylko uporządkować, ale nawet uzyskać w tym kierunku znaczny postęp.

To wszystko dało się osiągnąć dzięki należytej organizacji (mam na myśli Polski Związek Łowiecki i regionalne ideowe Towarzystwa Łowieckie, jak Małopolskie Towarzystwo Łowieckie i inne), następnie wytrwałej pracy organów tych stowarzyszeń przy poparciu wszystkich prawdziwych myśliwych, którzy, tak zrzeszeni jak i luzem chodzący, zdawali sobie sprawę z odpowiedzialności wobec przyszłego pokole-

nia i mieli należyte poczucie obowiązków obywatelskich wogóle a łowieckich w szczególności.

Te spostrzeżenia opieram na własnym doświadczeniu, jako długoletni delegat M. T. Ł., a następnie Łowczy powiatowy Polskiego Związku Łowieckiego. Gdy rozpocząłem moją pracę w powiecie, dość trudnym do łowieckiego zagospodarowania, gdyż bardzo rozległym i w połowie zajmującym rewiry górskie, zastałem tam zwierzostan bardzo przetrzebiony, a stosunki łowieckie dalekie od przeciętnej normy. Po kilku latach usilnych starań zdołałem przecież doprowadzić do tego, że żaden obwód łowiecki nie był już w rękach osoby nieodpowiedniej, albowiem przy zatwierdzaniu umów dzierżawnych Starostwo zasięgało opinii Powiatowej Rady Łowieckiej. Dalej, tak samo była uwzględnianą opinia Powiatowej Rady Łowieckiej przy wydawaniu pozwoleń na broń myśliwską i kart łowieckich. Istniejące w powiecie dwa Towarzystwa myśliwskie podzieliły się rewirami przy ich komasacji i nie było szkodliwej konkurencji przy przetargach dzierżawnych. Straż łowiecka była wszędzie ustanowiona, a kłusowników i wnykarzy karano odpowiednio t. j. dotkliwie, tak w Starostwie jak i w Sądzie. Około 80% myśliwych w powiecie było członkami Polskiego Związku Łowieckiego i czytelnikami pism łowieckich. Zwierzostan powrócił do przedwojennej jakości i ilości a nawet w niektórych gatunkach był lepszy aniżeli przed wojną. Wójtowie i właściciele oraz dzierżawcy łowisk chętnie mi dostarczali potrzebnych dat statystycznych. Wreszcie przewodniczącymi sądów rozjemczych zostali ludzie sumienni i świadomi rzeczy, wskutek czego unikało się zadrażnień w kwestii wynagradzania szkód łowieckich.

Takie same osiągnięcia, a może lepsze, można było zanotować w wielu innych powiatach. Czyżby obecnie nie można było dojść do takich samych wyników, przy stosowaniu tych samych środków? Niewątpliwie tak. Może tylko droga będzie dłuższą i bardziej żmudną, gdyż warunki pracy na niwie łowieckiej są dzisiaj trudniejsze, aniżeli w czasie o jakim wspominam.

Przede wszystkim nie sprzyjającą rozwojowi łowiectwa — ale uważam, że to tylko z początku — jest zmiana ustroju rolnego i brak większych łowisk prywatnych. Pozostało jednak jeszcze dosyć większych ośrodków, jako państwowych majętności ziemskich, no i wielkie kompleksy lasów.

Druga, może największa, przeszkoda w regeneracji zwierzostanu — to wprost niesamowite kłusownictwo, którego podłoże stanowi zupełne pomieszanie pojęć w tym kierunku, że dość znaczna część społeczeństwa uważa, iż skoro zwierzyna stanowi bogactwo narodowe, to każdy bez ograniczenia może czerpać z tego wspólnego dobra.

Ponadto ogólny upadek moralności i nieposzanowanie cudzej własności zaznaczyły się tak dobitnie na odcinku łowieckim, że można śmiało zaryzykować twierdzenie, że przepisy prawa łowieckiego poszły w zapomnienie.

Nie będę wskazywał dróg, którymi należało by dążyć do zwalczania kłusownictwa, gdyż są one chyba



Lisy z Krakowskiego *fot. B. Nowak*

powszechnie znane, a wytrwałe starania, podejmowane w tym względzie przez Polski Związek Łowiecki są niewątpliwie najbardziej celowe. Ogromną zdobyczą dla świata łowieckiego, zwłaszcza o ile chodzi o ochronę zwierzostanu przed masowym wybijaniem, byłoby zamierzone wciągnięcie gospodarstwa łowieckiego do trzyletniego planu gospodarczego. Wówczas bowiem inaczej niż dotąd byłoby traktowane gospodarstwo łowieckie w lasach państwowych (nie jako kopciuszek pod mianem użytków ubocznych), a także reakcje władz państwowych na kłusownictwo byłyby chyba dostosowane do tępienia wszelkiego innego szkodnictwa gospodarczego.

Nie pomogą jednak choćby najenergiczniejsze wystąpienia Polskiego Związku Łowieckiego bez odpowiedniego współdziałania jego organów terenowych i ogółu jego członków. Tutaj muszę z przykrością zaznaczyć, że na Ziemiach Odzyskanych, gdzie obecnie przebywam (jak jest gdzie indziej — nie wiem), Wojewódzkie i Powiatowe Rady Łowieckie nie wykazują takiej aktywności, jakiej wymaga obecna groźna sytuacja łowiecka i to właśnie w tej połaci kraju.

Brak jest koniecznej propagandy. Co więcej insty-

tucje te są często jakby zakonspirowane, trudno się bowiem dowiedzieć o ich siedzibie, która też nie zawsze znajduje się w mieście wojewódzkim lub powiatowym. Ożywienie zatem działalności wojewódzkich i powiatowych Rad Łowieckich wydaje mi się pierwszym niezbędnym krokiem do uzdrowienia stosunków łowieckich.

Wracając zatem do założenia moich, zresztą niewyczerpujących, uwag, streszczam je: nie wolno nam poddawać się zwątpieniu i niemocy, lecz dążyć wytrwale, każdy w miarę swoich możliwości, do wspólnego celu, a to, aby wraz z ogólną poprawą i utrwaleniem się stosunków gospodarczych, także i w łowiectwie powróciły dobre obyczaje i porządek prawny, a jeśli będziemy to czynili z wiarą, że zdrowy duch narodu zwycięży — to niechybnie odżyje też i nasze ukochane łowiectwo.

J. T.

WŁ. BIELA.

KŁUSOWNICTWO

Jedną z największych plag, jakie ma polskie łowiectwo do zwalczenia, to plaga kłusownictwa. Ponieważ ogólnie znanym jest rozmiar szkód, jakie kłusownicy wyrządzają w zwierzostanie, rozwodzić się nad tym na łamach „Łowca Polskiego" — jako stale poruszającego te sprawy — jest zbyteczne. Wszystkie zainteresowane czynniki starają się wszelkimi sposobami ukrócić tę nagminną samowolę przez wydawanie odpowiednich przepisów, zarządzeń itp. środki zaradcze, lecz zasadniczo nie daje to pozytywnego wyniku.

Jeśli wszystkie, nawet najostrzejsze zarządzenia, nie doprowadzają do należytego celu, koniecznym jest zwrócenie uwagi na to, czy nie ma innego środka prowadzącego, jeśli nie do całkowitego zlikwidowania, to przynajmniej do ograniczenia tej groźnej plagi. Szukając tego środka zastanowić się trzeba nad psychiką i pobudkami zła u samych winowajców.

Kłusowników należy podzielić na kilka grup, a specjalnie na dwie zasadnicze. Jeden rodzaj to kłusownicy i wnykarze, działający wyłącznie dla zysku materialnego; proceder ten należy tępić z całą bezwzględnością. Drugi rodzaj — to kłusownicy z namiętności. Nad tym rodzajem należy się dłużej zatrzymać i zbadać bezstronnie tak podłoże, jak i okoliczności przestępstwa.

Człowiek rodzi się z pewnemi cechami, których ani źródło, ani dalszy ich rozwój nie zależą od danego osobnika. Jest to prawo przyrody bez względu na kastę. Cechą namiętności łowieckiej jest również wrodzona i nikt temu nie jest winien, boć są to psychiczne spuścizny po przodkach — łowcach. Znaczna część ludzi, przeważnie spośród włościan, stykając się bezpośrednio z przyrodą i mając zarzewie namiętności łowieckiej, natrafia na każdym kroku na zewnętrzne podniety, które namiętność tę podsycają. Osobnicy ci, nie znając hamulców psychicznych i nie mogąc stłumić w sobie potrzeby wyżycia się łowieckiego, zostają przeważnie kłusownikami, mimo, że niejednokrotnie w głębi ich jestestwa drzemie podświadoma i nieskrystalizowana przez nich samych etyka łowiecka, objawiająca się również podświadomie w pewnych dodatnich odruchach.

Dlaczego człowiek taki jest kłusownikiem? Po pierwsze — jest to brak uświadomienia. Nikt nigdy nie starał się wzbudzić w nim drzemiącej etyki, nikt nie próbował jej rozwinąć i nadać odpowiedni kierunek. Jednostka ta wie tylko, że jest zakaz uprawiania nielegalnego polowania, że za to są kary, że jest ścigana, ale dlaczego, jakie są rozmiary szkód wyrządzanych przez niego, jak powinno wyglądać prawidłowe łowiectwo, nikt mu tego nie wyjaśnił. Drugie — to nieufność do wszystkich nadrzędnych czynników, związanych z łowiectwem, datująca się od wieków i bodaj po dzisiejszy dzień. Nieufność ta jest poniekąd uzasadniona warunkami i błędami przeszłości. W dalekiej przeszłości włościaninowi nie było wogóle dostępne prawo polowania. Polował ukradkiem, a co za tym idzie bez względu na czas i płeć. Łowiectwo legalne — jak ogólnie wiadomo — należało tylko do uprzywilejowanych. W niedawnej przeszłości było podobnież, z tą różnicą, że tylko pewien odsetek włościan otrzymywał prawo polowania. Była to grupa ludzi protegowana dla korzyści osobistych protegujących. Naogół jednak włościaninowi mało było dostępne prawo polowania, stawiane były trudności i przeszkody w uzyskaniu zezwolenia, a staraniom towarzyszyła zawsze niepewność co do pomyślnego załatwienia. Skutek — nielegalne polowanie.

Jak jest obecnie? Przez okres wojny i w okresie powojennym kłusownictwo rozszerzyło się znacznie. Jest to normalne zjawisko, spowodowane osłabieniem hamulców rygorystycznych i przeciwdziałających. Ponadto środowiisko wiejskie nie jest jeszcze w pełni uświadomione o możliwościach legalnego polowania, ma ponadto wątpliwości co do tych możliwości. Za mało poświęca się wysiłku na wsączenie w szeroki ogół środowiska wiejskiego należytego uświadomienia z dziedziny łowiectwa i ochrony przyrody. Akcję tę powinien podjąć Związek Łowiecki, działając przez komórki mniejsze, jakimi są powiatowe i gminne Kółka.

Jak wynika z obserwacji zewnętrznych przejawów działalności Kółek, to aktywności takowych stwierdzić — z małymi wyjątkami — nie można. Kółka ograniczają się przeważnie do suchych czynności organizacyjnych, do urządzenia kilku polowań i po większej części na tym koniec. Słyszy się często narzekania, że brak broni myśliwskiej wstrzymuje rozwój i ruch Kółek, a niektóre z nich nawet z przyczyn powyższych zamierają w bezczynności.

Otóż polowanie nie jest wyłącznym celem Kółka, działalność jego musi się rozciągać na wszystkie dziedziny łowiectwa, zaś obecnie przede wszystkim na zwalczeniu kłusownictwa, oraz ochronę i powiększenie zwierzostanu. Do walki z kłusownictwem należy przystąpić bezzwłocznie i z całym zasobem energii i inicjatywy. Brać w niej udział muszą wszyscy myśliwi i wszystkie od najmniejszej do największej komórki łowiectwa.

Walka ta powinna być dwurodzajowa i składać się

będzie z kilku etapów. Oto projekt poszczególnych metod walki z kłusownictwem, zgrupowanych w kolejnych etapach.

1. Powiatowe Kółka Łowieckie, przy pomocy bardziej uspołecznionych jednostek spośród środowiska wiejskiego, przy pomocy nauczycielstwa, oraz przy pewnej dozie własnej inicjatywy, powinny przeprowadzić dokładny wywiad o ilości i rodzaju kłusowników w obrębie swojego rejonu (o wielu z nich wiedzą członkowie Kółka).

2. Zebrany na podstawie wywiadu materiał należy podzielić na dwie zasadnicze grupy. Do pierwszej zaliczyć kłusowników dla zysku, oraz wnykarzy. Do drugiej podciągnąć myśliwych nielegalnych, którzy proceder polowania uprawiają z namiętności, a czy to z powodu braku świadomości, czy też innych pobudek nie są zrzeszeni. W stosunku do pierwszego rodzaju kłusowników, jako groźniejszego, szkodliwszego, nie dającego żadnej gwarancji przekształcenia na lepsze, należy w porozumieniu z odnośnymi władzami zastosować bezwzględne represje, aż do najsurowszych kar włącznie.

Do drugiego rodzaju kłusowników należy podejść odmiennie, zważywszy wszystkie okoliczności i pobudki towarzyszące przestępstwu przeciwko ochronie przyrody i prawu łowieckiemu. W tym wypadku i w stosunku do takich jednostek, stosowanie kar jest bezcelowe. Kary nic nie pomogą, „zew krwi" odzywać się będzie zawsze. Raczej należy zastosować łagodny system walki, której celem powinno być przekształcenie kłusownika na myśliwego zrzeszonego, respektującego prawa łowieckie i podporządkowującego się ogólnemu planowi do jakiego zmierza Związek Łowiecki. Będzie to etap rozłożony na dłuższą metę w czasie, a efektywne wyniki zależeć będą od zdolności i umiejętności działania.

Zachodzi pytanie, jaki system obrać, ażeby przeprowadzić przekształcenie kłusownika w legalnego i dobrego myśliwca? Jest to problem trudny i nie można tu narzucać jednej recepty. Przykładowo można zastosować następujący system: w początkowej fazie działania należy podsunąć bezimiennie „delikwentowi" broszurki o łowiectwie, celowo opracowane. Na wstępie zdziwi go fakt skierowania broszur specjalnie do niego, ale jednocześnie fakt ten nasunie mu przeświadczenie, że „ktoś" się nim zainteresował, „ktoś" wie o jego postępkach i to „ktoś" z zewnątrz jego środowiska. Otrzymanie broszur z dziedziny jego przestępstwa zaalarmuje go i skłoni na wstępie albo do chwilowego zaprzestania uprawianego przestępczo procederu, albo przynajmniej do ograniczenia go. W międzyczasie nastąpi zainteresowanie się otrzymaną lekturą i w tym wypadku początkowy cel osiągnięty.

Jakiej treści muszą być te broszurki? Nie mogą to być naukowo i sucho opracowane artykuły, bo te mało odniosą skutku. Powinny to być artykuły w formie opowiadań łowieckich, w których jaskrawiej uwydatnić się muszą idee łowieckie, poddane umiejętnie zainteresowanemu. Artykuły te w odpowiednim cyklu zawierać powinny wszystkie dziedziny łowiectwa, dostosowane do poziomu umysłowego wieśniakai i jego indywidualności. Źródła te dadzą kłusownikowi możność zapoznania się z ideologią łowiectwa i monografią zwierzyny łownej. Bluzną mu w oczy rozmiarem szkód wyrządzanych przez niego i jemu podobnych. Dadzą mu możność porównania swoich przeżyć z przeżyciami innych, pozwolą ponadto na skrystalizowanie swych wrażeń na wzorach i przykładach. Może rozbudzą się w nim drzemiące elementarne zasady etyki, które spowodują w jestestwie jego dodatnie refleksje.

Następnym etapem powinno być nawiązanie osobistej łączności pomiędzy kłusownikiem, a którymś z członków Kółka, posiadającym takie walory, jak: znajomość środowiska wiejskiego, ideologiczne pojęcie łowiectwa, dar wymowy i przekonywania. Akt nawiązania łączności osobistej należy tak umiejętnie zareżyserować, by nie dać danemu osobnikowi możności zorientowania się w istotnych celach styczności. W czasie kontaktu — o który należy się często starać — przez umiejętne prowadzenie rozmów, winno się dążyć do pełniejszego uświadomienia, a następnie do zrzeszenia „nawracanego" w Związku Łowieckim. Z chwilą osiągnięcia celu, rozpoczyna się końcowy etap zadania, przeprowadzany już zbiorowo przez Kółko Powiatowe lub Gminne. Ostatecznego aktu dokonać muszą zebrania, z których należy wyłączyć suchy szablon i bezprzedmiotowość oraz debaty pojedyncze między sobą zainteresowanych mówców, natomiast wprowadzić opracowane na poziomie i celowo aktualne odczyty, pogadanki, dyskusje itp., zawierające w sobie wszystkie dziedziny łowiectwa, tak od strony ideowej, jak i etycznej oraz fachowej. W czasie takich zebrań ważnym jest wciąganie specjalnie nawróconych do dyskusji, w celu podkreślenia ich przynależności do Związku, oraz w celu rodzinno-przyjacielskiego poczucia się tychże w łonie tego Związku.

Zdawało by się może, że jest to zbyt utopijne podejście do sprawy zwalczania kłusownictwa. Jest ono jednakże po większej części uwieńczone dobrymi wynikami i oparte na pewnych, już przeprowadzonych doświadczeniach w tym kierunku.

Wierzę, że wielu myśliwych ma z czasów swoich przeżyć niejedno osiągnięcie, zdobyte na polu zwalczania kłusownictwa w ten czy podobny sposób. A każdy zwalczony czy też przekształcony kłusownik to dla myśliwego w Księdze Przyrody wpisana pozycja po stronie „Ma".

Jeśli chodzi o zwalczanie kłusownictwa i zapobieganie temu przestępstwu, to do akcji tej w imię Przyrody stanąć muszą wszyscy myśliwi. Stanąć muszą nie tylko do działania czynnego, lecz i do poparcia materialnego. Kosztem odmówienia sobie małej przyjemności w życiu codziennym, nie powinno braknąć pieniędzy na wydawnictwa do walki z nieopanowaną dotychczas plagą. Przeciwdziałanie pladze kłusownictwa zacząć należy od dołu, od najmniejszej komórki łowiectwa, a miarą oceny poziomu społeczno-moralnego danej komórki, winna być ilość kłusowników w rejonie jej zasięgu.

Oby była znikoma.

Biela Władysław
gr. Dyle, gm. Puszcza Solska, pow. Biłgoraj.

Z LITERATURY ŁOWIECKIEJ

I.

„WILD ANIMALS OF BRITAIN"—by W. Kenneth Richmond, M. A. Geoffrey Cumberlege, Oxford Uniwersity Press, 1946.

Od The British Council w Warszawie otrzymaliśmy pięknie wydaną książkę pod powyższym tytułem. Jest to popularnie napisana praca o najbardziej charakterystycznych dzikich czworonogach lądowych Wielkiej Brytanii, oraz o mieszkańcach otaczających ją mórz. Opis wyglądu i życia tych zwierząt poprzedza krótki szkic ewolucyjnego rozwoju świata zwierzęcego od pierwotniaków począwszy, poprzez wielokomórkowce, do kręgowców antydyluwialnych i dalej, aż do form współczesnych, występujących dziś w Wielkiej Brytanii.

Autor podaje w części pierwszej książki barwny opis głównych czynników, warunkujących życie zwierząt: instynkt rozrodczy, walka o byt, przystosowywanie się do klimatu i warunków terenowych, a następnie w szeregu szkiców, zapełniających część drugą, zamieszcza charakterystykę poszczególnych grup, rodzin i rodzajów zwierząt dzikich, zamieszkujących Wielką Brytanię i jej pobrzeża.

Książkę zdobią świetnie wykonane zdjęcia z natury: borsuka, lisa, kuny, łasicy, wydry, jelenia, zająca, królika, wieloryba, foki itd., zaś same opisy, acz ściśle fachowe, zaprawione są tak charakterystycznym dla Anglików humorem, że książkę czyta się z niesłabnącą uwagą.

II.

„ALBUM KRAJOWYCH ZWIERZĄT CHRONIONYCH"—JAN MARCHLEWSKI. Wydawnictwo Państwowej Rady Ochrony Przyrody, Kraków 1947.

Dzięki pieniężnemu zasiłkowi ze strony Ministerstwa Oświaty, Państwowa Rada Ochrony Przyrody wydała piekny i kosztowny Album krajowych zwierząt chronionych. Tekst ułożył asystent Uniwersytetu Jagiellońskiego, Jan Marchlewski, rysunki kolorowe i kreskowe — artysta-malarz i przyrodnik — Karol Łukaszewicz.

Album obejmuje 48 gatunków zwierząt, w tym 2 z gromady owadów, jeden z gromady ryb, 3 z gromady płazów, 4 z gromady gadów, 25 z gromady ptaków i 13 z gromady ssaków. Nas, jako myśliwych interesują przede wszystkim dwie ostatnie gromady. Z wymienionych w albumie ptaków znajdujemy tu zaliczone do łownych: czaplę purpurową i białą, bociana czarnego, łabędzia niemego, sępa kasztanowatego, rybołowa, gadożera (krótkoszpona), bielika (łomignata), kanię rudą, błotniaka popielatego, orlika krzykliwego, orła przedniego, raroga, sokoła wędrownego, siewkę złotą, gołębia siniaka, sowę błotną i puchacza.

Z ssaków zaś, zaliczonych do łownych, nurkę (norkę), borsuka, niedźwiedzia, żbika, rysia, świstaka, bobra, żubra, kozicę i łosia.

Jak widzimy z przytoczonego wyliczenia nie wszystkie wymienione zwierzęta podlegają ustawowej ochronie całkowitej. Jednakowoż, z uwagi na ich rzadkość, albo wyraźną pożyteczność, należy się im opieka — jeżeli chcemy, aby przyroda żywa naszego kraju nie uległa zniekształceniu.

Właśnie temu zadaniu sprzyja charakter Albumu, który przez piękne odtworzenie w barwach wyglądu zwierząt chronionych, oraz przez rysunki uzupełniające, charakteryzujące cechy ich budowy, sylwety w locie, tropy itp. pozwala na odróżnienie zwierząt chronionych i na otoczenie ich należytą opieką.

III.

POMORSKI BIULETYN ŁOWIECKI.

Ukazał się 3 z kolei zeszyt „Pomorskiego Biuletynu Łowieckiego", organu Pomorskiej Wojewódzkiej Rady Łowieckiej.

Podobnie jak zeszyt 2 wypełniają go niemal w całości prace inż. Józefa Goetza p. t. „Dzik na Pomorzu Południowym" oraz „Rozpoznawanie wieku dzika po uzębieniu". Łącznie z pracą, zamieszczoną w Nr. 2 p. t. „W sprawie odstrzału i hodowli dzika", tworzy to już materiał do wszechstronnie ujętej monografii dzika pomorskiego.

W artykule p. t. „Dzik na Pomorzu Południowym" autor porusza aktualną dziś sprawę rzekomo nadmiernych ilości dzików na obszarze Pomorskiej Dyrekcji Lasów Państwowych, która zapoczątkowała kampanię prasową i wysunęła żądanie wzmożonego, przymusowego odstrzału, celem zredukowania ilostanu dzików.

Autor przytacza urzędową statystykę ilostanu dzików na dz. 1/III. 1947 r., według nadleśnictw i stwierdza, że na 256 tys. ha obszaru leśnego Dyrekcji Pomorskiej przebywało w tym okresie 2.379 dzików, co czyni na każde 1000 ha — 10,7 sztuk.

Według obliczeń, opartych na zbadaniu wartości odżywczej siedliska, autor ustala, iż na siedliskach ubogich glebowo i porośniętych jednolitym lasem sosnowym, bez dostatecznego podszycia, przestrzeń 1000 ha może przeżywić najwyżej 5 dzików. Na siedliskach bogatych, ilość ta może być podwyższona do 10 sztuk. Otóż podana wyżej statystyka wskazuje, że na ogólną ilość 41 nadleśnictw w 26 nadleśnictwach przebywa od 1 do 10 dzików, w 9 dalszych nadleśnictwach wynosi 11 do 15 sztuk i tylko w 6 nadleśnictwach, skupionych w północno-zachodnim kącie Dyrekcji Pomorskiej (Borek, Leśno, Lutówko, Sosnowo, Szubin i Zamrzenica) stan dzików, wahający się od 16 do 30 sztuk na 1000 ha, wymaga istotnie redukcji w drodze odstrzału, bądź też, co jest chyba bardziej wskazane — dokarmiania dzików przez zakładanie poletek z ziemniakami, bulwą itp.

Artykuł p. t. „Rozpoznawanie wieku dzika po uzębieniu" podaje ciekawe tabele stopniowego rozwoju uzębienia u dzika, przytacza pomiary szabel oraz rysunki, ilustrujące sformułowane tezy. W związku z obu tymi artykułami, Wojewódzka Rada Łowiecka zwraca się do wszystkich myśliwych Pomorza z prośbą o przesyłanie danych o ubitych dzikach z uwzględnieniem wagi i wymiarów tuszy, pomiaru szabel i fajek, ubarwienia itp.

J. Gieysztor.

JAN PANFIL.

Łowiectwo na terenie Pomorza Mazurskiego

(Streszczenie referatu, wygłoszonego podczas Wystawy w Olsztynie).

Różnorodność gleb i budowy terenu Pomorza Mazurskiego powoduje wielką rozmaitość w składzie drzewostanów. Na świeżych glebach piaszczystych z większą lub mniejszą domieszką próchnicy, a miejscami gliny, występują drzewostany sosnowe i sosnowo-świerkowe, które na lepszych i wilgotniejszych glebach przechodzą w drzewostany świerkowo-liściaste, z domieszką sosny, gdzie wśród liściastych dominuje buk i dąb, w niższych miejscach — olsza, brzoza i osika z domieszką jesionu. Runo i podszyt są tu bardzo bogate, stanowiące obfity i zdrowy pokarm dla zwierzyny. Przechodząc do omówienia gospodarki łowieckiej, muszę podzielić tereny łowieckie na cztery zasadnicze grupy. Do pierwszej należy zaliczyć olbrzymie gospodarstwo o jednolitym ujęciu zagadnień hodowlanych i ochronnych, a więc lasy państwowe. Drugą grupę stanowią lasy samorządów miejskich i wiejskich. Trzecią grupę tworzą lasy drobne i pola należące do państwowych majątków rolnych. Czwarta grupa i to największa pod względem przestrzennym — to obszary pól wiejskich.

Lasy państwowe o powierzchni 387.248 ha podzielone zostały na pięć kategoryj, z których wymieniam najbardziej nas interesujące, a mianowicie: obwody łowieckie zaliczone do kategorii ochronnych i wynoszące 2% ogólnej powierzchni, obwody łowieckie wyznaczone do celów doświadczalnych, wynoszące 1% i obwody łowieckie przeznaczone do wydzierżawienia, wynoszące 65% ogólnej powierzchni. W lasach państwowych na terenach, stanowiących obwody łowieckie, gospodarka prowadzona jest według zasad naukowych i obowiązujących przepisów, gwarantujących prawidłowość poczynań zarówno hodowlanych jak i ochronnych.

Dla ogólnej orientacji podaję tabelę, obrazującą stan zwierzyny w lasach państwowych tutejszego okręgu, oraz plan odstrzału w roku 1947.

TABELA

według danych D. L. P. w Olsztynie na 1947 rok

Jelenie	Daniele	Sarny	Dziki	Zające	Lisy, borsuki
1956	697	11425	813	70129	6631

Jak poważnie stan zwierzyny zmniejszył się w stosunku do stanu przedwojennego Pomorza Mazurskiego, wykazuje przytoczona dla porównania tabela rocznego odstrzału zwierzyny łownej, według danych zaczerpniętych z „Łowca Polskiego" Nr. 3, z 1947 roku:

Jelenie		Daniele		Sarny		Dziki		Zające		Lisy	
stan	odstrzał	stan	odstrzał	stan	odstrzał	stan	odstrzał	stan	odstrzał	stan	odstrzał
2272	162	138	—	6135	267	4084	1383	12257	3235	2097	1034

Lasy samorządowe (druga grupa) pozostają dotychczas pod względem łowieckim prawdopodobnie nieuporządkowane, a ich organizację — moim zdaniem — należy oprzeć na zasadach stosowanych w lasach państwowych. Co do zagospodarowania trzeciej grupy — większych państwowych majątków rolnych — brak mi bliższych danych. Czwarta grupa, obejmująca obwody łowieckie gminne, wymaga dalszej pracy. Jak dotychczas, jedynie w niektórych powiatach, na skutek inicjatywy Olsztyńskiej Wojewódzkiej Rady Łowieckiej, zostały utworzone obwody łowieckie, pokrywające się terenowo z obszarami poszczególnych gmin. Dalszym zadaniem jest uporządkowanie obwodów łowieckich dla całego okręgu.

Przechodząc do charakterystyki zwierzostanu na Pomorzu Mazurskim, pozwolę sobie omówić głównych jego przedstawicieli.

Łoś (Alces alces), ten największy przedstawiciel rodziny cerwidów, jest już dziś uważany za zwierzę wymierające. Chroniony na podstawie przepisów prawa łowieckiego od czasu do czasu pokazuje się w lasach na pograniczu północno-wschodnich części naszego województwa. Jeśli w najkrótszym czasie nie dołoży się odpowiednich starań i nie roztoczy się nad nim odpowiedniej ochrony, zwierzę to na naszym terenie zginie bezpowrotnie ze szkodą dla przyszłych pokoleń. Przed ostatnią wojną stan łosi w byłych Prusach Wschodnich był dość liczny. Główną ostoją tych zwierząt była Mierzeja Kurońska, oraz błotniste lasy na północo-wschód od Królewca, tereny lasów Nadleśnictwa Pruska Iława i Puszcza Romincka. Przedwojenny stan łosi był dobry; wzięty bowiem pod ochronę i hodowlę rozmnożył się do tego stopnia, że należało dokonywać racjonalnego odstrzału, który wynosił rocznie około 164 sztuki, w tym 60% przypadało na odstrzał selekcyjny klemp i słabych cieląt. Wartość odstrzelonej zwierzyny wynosiła około 53.000 złotych przedwojennych.

Jeleń (Cervus elephus) występuje na całym terenie naszego województwa, w większej jednak ilości obecnie spotykamy go w bardziej zwartych kompleksach leśnych. Badając dane statystyczne ilościowego stanu jeleni w tutejszym okręgu, należy przyjąć cztery rejony rozdzielcze, prawie ściśle pokrywające się z masywami leśnymi, omówionymi na wstępie. W rejonie Puszczy Piskiej stan jeleni wynosi około 1080 sztuk,

w rejonie środkowym, obejmującym kompleks lasów w południowej części województwa — stan jeleni wynosi około 810 sztuk, w rejonie południowo-wschodnim — 190 sztuk. W stosunku do stanu przedwojennego obecny stan mocno zmalał, bowiem dane stytystyczne dla przedwojennego rocznego odstrzału wynoszą 1956 sztuk, to jest niemal całość obecnego stanu. Biorąc pod uwagę ogromne zniszczenia, jakich dokonała ostatnia wojna w łowiskach jelenich, stan obecny należy uważać za dość dobry, przy czym należy mieć nadzieję, że stan jeleni z roku na rok będzie się powiększał, wobec jednolitego ujęcia hodowli i ochrony tego zwierza w lasach państwowych tutejszego okręgu. Jelenie tutejsze ustępują pod względem wielkości jeleniom karpackim, natomiast są największe, jeżeli chodzi o jelenie nizinne. Jednocześnie zaznaczyć należy, że jelenie tutejsze odznaczają się kapitalnymi wieńcami, i pod tym względem niewiele ustępują jeleniom karpackim. Wieńce tutejszych jeleni różnią się na minus jedynie tym, że w koronie mają więcej odnóg, poza tym kształt i kolor jest nadzwyczaj piękny. Na jelenie w tutejszym okręgu polujemy w jesieni na rykowisku. W roku bieżącym Dyrekcja Lasów Państwowych wyznaczyła do odstrzału 86 byków.

Daniel (Dama platyceros), znacznie mniejszy od jelenia odróżnia się szczególnie swymi charakterystycznymi rogami, w których górne wyrostki są spojone w jedną szeroką łopatę ze śladami zazębień pojedynczych odnóg. Przed wojną roczny odstrzał danieli wynosił 697 sztuk, obecnie zaś panuje całkowita ochrona wobec znikomego stanu, bo wynoszącego około 137 sztuk na terenach trzynastu nadleśnictw. Większe grupki danieli zanotowano w lasach północno-zachodnich i północno-wschodnich naszego województwa.

Sarna (Capreolus vulgaris) występuje na całym terenie Pomorza Mazurskiego. Stan obecny wynosi około 6130 sztuk. Roczny odstrzał wynosi 267 sztuk, w tej liczbie 182 rogacze. Występuje ona równomiernie we wszystkich lasach tutejszego okręgu. Sarny nasze są znacznie większe od sarn z innych części Polski, przy czym rogacze odznaczają się silnym i bardzo pięknym porożem. Przedwojenny roczny odstrzał sarn na tutejszych terenach wynosił 11.425 sztuk, t. j. prawie dwa razy tyle, ile wynosi obecny stan w lasach państwowych.

Dzik (Sus scrofa) zamieszkuje wszystkie lasy naszego województwa. Większe skupiska jednakże spotykamy w lasach o lepszych siedliskach, gdzie rośnie dąb i buk. Obecny stan dzików w lasach państwowych wynosi około 4080 sztuk, do odstrzału w roku bieżącym wyznaczono 1383 sztuki. Przedwojenny roczny odstrzał dzików na tutejszych terenach wynosił 813 sztuk. Z tego wynika, że stan dzików w porównaniu do stanu przedwojennego poważnie się zwiększył.

Zając szarak (Lepus timidus) występuje na całym obszarze Pomorza Mazurskiego. Przed wojną stan zajęcy był dobry. Roczny odstrzał zajęcy wynosił 70.129 sztuk. Stan obecny w/g danych dla lasów państwowych wynosi około 12.250 sztuk, z czego do odstrzału wyznaczono 3.230 sztuk.

Zając bielak (Lepus variabilis), to najpiękniejsze ze zwierząt łownych — niestety — na terenach Pomorza Mazurskiego nie występuje, to też nie będę się dłużej nad nim zatrzymywał.

Lis (Canis vulpes). Według obliczeń stan lisów wynosi około 2090 sztuk. Do odstrzału wyznaczono prawie 50% całego stanu. Przed wojną na tutejszych terenach odstrzał lisów, łącznie z borsukiem, wynosił 6631 sztuk. Lis jest uważany powszechnie za bardzo szkodliwego drapieżnika, chociaż moim zdaniem niesłusznie: czyni on wprawdzie szkody wśród młodych zajęcy i ptactwa, lecz tylko w okresie wychowywania swego potomstwa. Natomiast podczas zimy, gdy zające są już duże, lis chwyta przeważnie osobniki chore, a zatem spełnia poniekąd rolę komisji sanitarnej. Wprowadzenie dla lisa ochrony od marca do października należy uważać za pożądane i celowe.

Borsuk (Meles meles). Choć podobno pospolity, to w/g mojego zdania, w lasach tutejszych obecnie jest nie łowny. Borsuk jest zwierzęciem bardzo pożytecznym. Na jego pożywienie składają się szkodliwe gryzonie polne, jak myszy i nornice, poza tym żywi się także pokarmem roślinnym. Czasem wyrządza szkody wśród ptactwa łownego, a zwłaszcza kuropatw, jednak szkody te są nikłe i nie stoją w żadnym stosunku do usług, jakie oddaje gospodarce rolnej i leśnej, to też jako zwierzę pożyteczne zasługuje na ochronę.

Z ptaków najważniejsze znaczenie na Pomorzu Mazurskim posiadają: głuszec, cietrzew, jarząbek, kuropatwa, słonka i kaczki.

Głuszec (Tetrao urogallus). Ten bezsprzecznie najpiękniejszy ptak niestety bardzo słabo jest reprezentowany w borach tutejszego okręgu.

Rozesłana ankieta w roku 1946 wykazała tokowisko głuszca tylko w jednym Nadleśnictwie. Moim zdaniem musi być więcej stanowisk głuszca, zwłaszcza na terenie lasów Puszczy Piskiej. Ze względu na rzadkość tego królewskiego ptaka — winniśmy bezwzględnie ustalić jego tokowiska, aby móc je otoczyć specjalną ochroną i tylko w ten sposób zachować głuszca przed ostateczną zagładą.

Cietrzew (Lyrurus tetrix). Jest on liczniejszy od głuszca. Obecny stan jego bowiem na terenach lasów państwowych wynosi około 260 sztuk. Tak samo jak przy głuszcu stanowiska cietrzewi nie są jeszcze ściśle ustalone, w każdym bądź razie stan cietrzewi jest niestety również bardzo słaby.

Jeżeli chodzi o rozmieszczenie cietrzewi, to należy je szukać na terenie lasów południowej części Okręgu Mazurskiego, łącznie z lasami Puszczy Piskiej. Przedwojenny stan cietrzewi nie był liczny i roczny odstrzał cietrzewi w tych rejonach nie przekraczał 2-ch sztuk na każde 10.000 ha. Już przed ostatnią wojną alarmowano w sprawie zmniejszania się ilości, jak i zwężania się zasięgu występowania tego ptaka z przyczyn dotąd jeszcze dostatecznie nieustalonych. Wobec małej ilości cietrzewi, winna w stosunku do nich nadal obowiązywać bezwzględna ochrona.

Jarząbek (Tetrastes bonasia). Stan jarząbka w lasach państwowych oblicza się na około 390 sztuk. Mając na względzie trudności liczbowego określenia jego, należy przeprowadzać dalsze badania w celu ustalenia dokładniejszych liczb i miejsc bytowania ptaka. Z powyższego wynika, że polowanie na jarząbki należy jeszcze wstrzymać na dłuższy okres czasu i otoczyć gatunek ten specjalną ochroną, ponieważ ptak ten łatwo jest łowiony w sidła przez kłusowników.

Kuropatwa (Perdix perdix). Stan kuropatw obecnie jest dość dobry. Według przybliżonych obliczeń stan

kuropatw należy przyjąć około 12.000 sztuk. Kuropatwa występuje na całym terenie Pomorza Mazurskiego, liczniejsze skupiska spotykamy zaś w północno-zachodniej i południowo-wschodniej części naszego województwa. Przedwojenny roczny odstrzał kuropatw wynosił 58.787 sztuk. Liczba ta jest oczywiście olbrzymia w stosunku do obecnego stanu. Na pytanie, czy nadal ma obowiązywać całkowita ochrona kuropatwy, należy się wypowiedzieć miarodajnym czynnikom łowieckim. Moim zdaniem należy poddać rewizji obecnie istniejące przepisy całkowitej ochrony, w kierunku udostępnienia łowów w pewnych okresach roku.

Słonka (Scolopax rusticula). Występuje jako ptak lęgowy na całym Pomorzu Mazurskim. Najlepsze ciągi słonek są na terenach północno-zachodnich naszego okręgu. Ciągi słonek rozpoczynają się tu pod koniec marca.

Pomorze Mazurskie bogate w tysiące przecudnych jezior, rzek, rzeczułek i sztucznych kanałów — to kraj kaczek oraz wszelkiego ptactwa wodnego i błotnego. To też w czasach wiosennych przelotów można zdobyć niejedno piękne trofeum, polując na ptactwo wodne z czółna lub z psem aporterem wśród trzcin i szuwarów.

Wśród licznych zabiegów i starań o utrzymanie i należyty rozwój naszej fauny, powstała z ramienia Wojewódzkiej Rady Łowieckiej Sekcja ochrony rzadkich zwierząt. Przystąpiła ona do rejestracji gatunków fauny, które podlegają całkowitej ochronie i której może zagrażać zagłada. Pierwszą pracą w tej dziedzinie — jest inwentaryzacja rezerwatów ptasich. Dotychczas definitywnie załatwiono sprawę utworzenia rezerwatu łabędziego na jeziorze Łukniany oraz kolonii czapli w uroczysku Czapliniec przy tymże jeziorze. Dalsza praca nad inwentaryzacją trwa i po opracowaniu zostaną skierowane wnioski do Wojewody Olsztyńskiego, z prośbą o wydanie zarządzeń ochronnych, jak to miało miejsce w stosunku do łabędzi na jeziorze Łukniany i bobrów na rzece Pasłęce.

Jan Panfil.

JAN B. SZCZEPSKI.

Kilka słów o obrączkowaniu ptaków

Naukowa metoda obrączkowania ptaków liczy około pięćdziesięciu lat. Pierwszy zastosował ją Duńczyk—Mortensen w 1899 roku. Metoda ta rozpowszechniła się bardzo szybko i już w 1901 roku stacja ornitologiczna w Rozytach (Vogelwarte Rossitten) na Mierzei Kurońskiej, przystąpiła do masowego obrączkowania, a wraz z nią cały szereg innych podobnych placówek w Europie, Ameryce, Azji itp. Obrączkowanie ptaków przybrało charakter międzynarodowej akcji, czego zresztą wymagał cel podjętych badań. Bowiem przy pomocy tej metody, postanowiono dokładnie zbadać zjawisko wędrówek oraz wiele innych zagadnień, związanych z biologią ptaków. Dzięki wprowadzeniu numeracji obrączek było można śledzić każdego ptaka z osobna.

O doniosłości prowadzonych badań mogą świadczyć dane niektórych stacyj o ilości zaobrączkowanych okazów. Tak, naprzykład, Stacja Ornitologiczna w Rozytach zaobrączkowała do 1937 roku — 763.863 ptaków, druga zaś, siostrzana Stacja na Helgolandzie—680.000 ptaków. Nasza Stacja Ornitologiczna (do roku 1939 — Stacja Badania Wędrówek Ptaków), która powstała przy Państwowym Muzeum Zoologicznym w 1931 r., zaobrączkowała dotychczas 106.503 ptaków, a dalsze obrączkowanie jest w toku.

Najważniejsze dla stacyj są wiadomości powrotne o zaobrączkowanych ptakach, stanowiące materiał naukowy, na podstawie którego opracowuje się trasy wędrowne poszczególnych gatunków, ich zimowiska, czas trwania wędrówki lub koczowania, występowanie populacyj w obrębie gatunku,, zmiany upierzenia, długotrwałość życia, trwałość par itp. Wykaz wiadomości jest ogłaszany przez stacje w corocznych sprawozdaniach, a dokładne wyniki obrączkowania — w specjalnych czasopismach ornitologicznych, względnie zoologicznych. Każda stacja gromadzi i posiada wiadomości trzech kategorii, mianowicie: wiadomości powrotne o okazach obrączkowanych i stwierdzonych w kraju, wiadomości o okazach obrączkowanych w kraju i stwierdzonych zagranicą i wreszcie wiadomości o ptakach obrączkowanych zagranicą i znalezionych w kraju. Z tych też względów nawet obrączki instytucyj zagranicznych należy zawsze odsyłać do naszej Stacji Ornitologicznej w Warszawie, która z kolei powiadamia odnośną placówkę ornitologiczną zagranicą. Każda wiadomość powrotna, z zaznaczeniem dokładnej daty i miejscowości znalezienia ptaka, stanowi dla Stacji bezcenną wartość naukową. Wynik obrączkowania zależy od ilości wiadomości powrotnych. Niestety, nie zawsze jednak obrączki po znalezionych lub zabitych, szczególnie zaś rzadszych, chronionych ptakach (np. drapieżnych) trafiają do naszej Stacji, co jest niepowetowaną stratą dla nauki. Martwego zaobrączkowanego ptaka należy, jeżeli pozwalają na to warunki, przesłać wraz z obrączką pod adresem Stacji, podając przy tym datę i miejscowość znalezienia. W razie schwytania żywego zaobrączkowanego ptaka, należy tylko odczytać napis i numer znajdujący się na obrączce, dane te przesłać (z podaniem gatunku) do Stacji, a ptaka wypuścić na wolność. Tego rodzaju postępowanie z żywym okazem, pozwala śledzić poszczególne dalsze etapy jego życia.

Stacja Ornitologiczna Państwowego Muzeum Zoologicznego w Warszawie zawdzięcza w dużej mierze swoje wyniki myśliwym, którzy przez wybitną pomoc w obrączkowaniu ptaków oraz nadsyłanie wiadomości powrotnych o nich, przyczynili się do jej rozwoju. I w tej chwili w szeregach współpracowników Stacji nie powinno zabraknąć żadnego myśliwego, gdyż łowiectwo ściśle łączy się z ornitologią i bez znajomości biologii ptaków nie może być mowy o ich hodowli i ochronie.

Współpraca ze Stacją nie nastręcza żadnych specjalnych trudności. Każdy zgłaszający się do współpracy otrzymuje bezpłatnie obrączki, instrukcje obrączkowania, ogólne wskazówki pracy w terenie, druki, wydawnictwa itp. Korespondencja ze Stacją jest bezpłatna.

Stacja, poza obrączkowaniem zajmuje się także zbieraniem obserwacyj fenologicznych, dotyczących ptaków i ich ochroną. Opracowuje różne zagadnienia

o charakterze faunistyczno-ekologicznym i ogólno biologicznym.

Wszyscy myśliwi interesujący się bliżej ornitologią powinni być w ciągłym kontakcie ze Stacją Ornitologiczną Państwowego Muzeum Zoologicznego w Warszawie, ul. Wilcza 64. Tamże należy kierować wszelkie obrączki po znalezionych i zabitych ptakach. Koszty przesyłek Stacja zwraca.

Jan Szczepski.

WŁODZIMIERZ PŁUŻAŃSKI.

Ułamki sekundy decydują....

Kto choć cokolwiek interesuje się sportem, ten wie, jaki regularny i higieniczny tryb życia obowiązuje przed konkursami sportsmenów, tym samym i strzelających na standach do gołębi i rzutków. Większości myśliwych nie obcy jest również ujemny wpływ na strzały każdej niedyspozycji, niedospania, przemęczenia, zdenerwowania, niewielkich nawet ilości alkoholu — zwierzyna wówczas uchodzi cało lub co gorsze postrzelona, a na pociechę rodzą się przesądy o „dniach pechowych".

W podobnych okolicznościach byłyby nie na miejscu przysłowiowe rady „podpatrzenia kolanka" czy „sypania soli", odważam się natomiast polecić—przede wszystkim „myśliwym od święta"— skuteczniejszy środek przeciw „pechowi".

Obserwacja moja datuje sprzed lat kilkunastu, gdy późno w noc przybyłem do Zgierza z zamiarem udania się wczesnym rankiem na zbiorowe polowanie z naganką. Wyczerpany pracą w stolicy, zmęczony przedświątecznym tłokiem w wagonie, rozstrojony bólem zębów, napróżno usiłowałem zasnąć w ciągu kilku pozostałych godzin; marne samopoczucie pogłębiała perspektywa niechybnych pudeł... Tymczasem popularna Cibalgina uśmierzyła zęby, równocześnie zaś na tyle poprawiła nastrój, że — polując przeważnie w terenie zmuszającym do szybkiego składania się — przestrzelałem towarzyszy, zdobywając przy tym największą ilość chybkich królików.

Być może, wobec wadliwości mego wzroku (m. in. powolna akomodacja i cylindryczność) działanie Cibalginy (w moim indywidualnym przypadku) zaznaczało się tym wyraźniej, nie mniej sądzę, iż odpowiednia podnieta współczulnego układu nerwowego (grand sympathique) sprzyja nie tylko ogólnej równowadze organizmu—stąd więc większemu opanowaniu i lepszej orientacji myśliwego — lecz i sprawniejszej koordynacji decyzji strzału z naciśnięciem spustu, charakteryzującej dobrych myśliwych.

Doniosły wpływ zyskanych ułamków sekundy na skuteczność strzałów podkreśla m. in.: „Zarys teorii strzału śrutowego" w doskonałym, przystępnym, zwięzłym ujęciu nieodżałowanego B. Świętorzeckiego. Autor opiera swe wnioski na faktach, iż u ludzi normalnych obraz widzianego przedmiotu utrzymuje się na siatkówce oka od 1/10 do 1/6 sek., czas zaś upływający od nakazu mózgu do wykonania ruchu mięśnia wynosi od 0,01 do 0,06 sek.

Nieznaczne zdawało by się opóźnienie z naciśnięciem spustu przy strzale do kuropatwy, lecącej bokiem z szybkością 15 mtr. na sekundę, powoduje znaczne różnice w zakładaniu przed ptaka; w pierwszym wypadku „założyć" należy zaledwie 15 cm. (15 × 0,01), w drugim aż 90 cm. (15 × 0,06), czyli o całe 75 cm. (90 — 15) więcej. Zbędność zakładania o te 3/4 mtr. zapewnia myśliwemu, obdarzonemu wrodzoną właściwością szybkiej reakcji znaczną przewagę nad strzelającym z opóźnieniem o 0,05 sek. (0,06 — 0,01). Podobnie ma się z innymi ujemnymi cechami wrodzonymi, mogącymi spowodować sumarycznie bardzo wielkie różnice, a tym samym utrudnić osiągnięcie przeciętnej choćby tylko sprawności w strzelaniu, co ustaliło przekonanie, że: „dobrym strzelcem trzeba się urodzić".

Szybkość reakcji różną bywa nie tylko u poszczególnych ludzi, lecz i u jednej i tej samej osoby podlega znacznym wahaniom. Myśliwy zakładający zwykle, powiedzmy, 30 cm. przed przelatującą bokiem „na ciągu" słonką, w razie spowodowania u niego — przez którąkolwiek ze wzmiankowanych na wstępie przyczyn—opóźnienia z naciśnięciem na spust—o 0,03 sek. np.—powinienby zakładać tego wieczoru o 60—70 cm.; oczywiście nie czyni tego — strzela „jak zawsze" — stąd pudła i niepowodzenie.

Uwagi powyższe nie wyczerpują wprawdzie zagadnień, związanych z „pechem" łowieckim, wyjaśniają jednak, dlaczego większość pudeł stanowią strzały opóźnione, zaznaczające się tak wyraźnie kurzawą za zającem, zmykającym dalej po suchej roli...

Poznanie, decydujących indywidualnie o celności strzałów, ułamków sekundy wydaje mi się nie mniej ważne od dostosowania strzelby (łoże, muszka, kaliber) i szkieł do kompleksji i wzroku strzelającego. Uważałbym przeto za bardzo wskazane przystosować niektóre pracownie psychoanalityczne do przeprowadzenia — u osób pragnących doskonalić się w sztuce strzelania — odnośnych badań i pomiarów, w pierwszej linii na „szybkość reakcji". Nie bez znaczenia zapewne byłyby porównawcze określenia — w ułamkach sekundy — odchyleń skutkiem przemęczenia, niedospania, narkotyków... Możliwe zresztą, iż — biorąc indywidualnie — poszczególne wykroczenia przeciwhigieniczne wypadłyby niezbyt zastraszająco dla sprawności strzelca...

Niech więc spieszą do psychoanalityka poniektórzy — zapominający łacniej naboi niż flachy — o wskazanie dopuszczalnej ilości alkoholu, a w razie ewentualnego przekroczenia — niech powołują się na: „tradycje łowieckie", teorię „względności" Einsteina itp. argumenty rozciągliwe — nieprzymierzając jak kauczuk wyrabiany ze spirytusu.

Pozwalam sobie zauważyć wreszcie, że możność przywrócenia, chwilowo obniżonej szybkości decyzji i sprawności ruchów, posiada również decydujące znaczenie we wszystkich bodaj rodzajach sportu, co powinno by tym więcej zachęcić kompetentne osoby i firmy do zaproponowania najskuteczniejszych środków, mogących — w razie przypadkowej depresji — okazać bezcenne usługi najlepiej nawet wytrenowanym sportowcom.

Włodzimierz Płużański.

Warszawa, dn. 2.V. 1944.

Druk W. I. G. R. W. 757. – II. 48. 25.000. – B–48762.

WARUNKI PRENUMERATY „ŁOWCA POLSKIEGO" W 1948 R.

Członkowie Polskiego Związku Łowieckiego, którzy opłacili składkę członkowską za r. 1948 na ręce odnośnych Rad Wojewódzkich i Powiatowych w kwocie 1.000 zł., a leśnicy wszelkich stopni, funkcjonariusze Urzędów Bezpieczeństwa, Milicji Obywatelskiej oraz słuchacze Wyższych Uczelni — w kwocie 600 zł. — otrzymują miesięcznik „Łowiec Polski" bez żadnej dopłaty. Pismo jest przesyłane przez Administrację „Łowca Polskiego" według adresów, dostarczonych przez Łowczych Powiatowych. O wszelkiej zmianie adresu należy powiadamiać kol. Łowczych bez zwłoki.

Inne osoby, pragnące otrzymywać nasze pismo, winny tytułem prenumeraty wpłacać na poczcie na konto „Łowca Polskiego" w P. K. O. N I 1077 kwotę roczną 500 zł., bądź też w stosunku 50 zł. za jeden zeszyt.

CENY OGŁOSZEŃ

Za ogłoszenie jednorazowe, zajmujące całą stronę okładki lub za tekstem, pobiera się 15.000 zł., za ¾ strony — 12.000 zł., za ½ strony — 9.000 zł., za ¼ strony — 6.000 zł., za ⅛ strony — 3.000 zł.

Za ogłoszenia w tekście — o 50% drożej.

Za ogłoszenia drobne zwykłym drukiem — po 15 zł. za wyraz, grubym drukiem — 30 zł. za wyraz.

Organizacje Polskiego Związku Łowieckiego, Dyrekcje Lasów Państwowych oraz Zarządy Państwowych Nieruchomości Ziemskich korzystają ze zniżki 50%, jeżeli ogłoszenia są nadsyłane bezpośrednio do Redakcji.

Redaktor — prof. J. Gieysztor. Wydawca — Polski Związek Łowiecki.

Warszawa, ul. Nowy Świat 35, tel. 825-29.